

Wojciech
Eichelberger

Ciało i dusza

Chciałbym zabrać głos w sprawie zasadniczej czyli ciała i duszy. To ważny temat, szczególnie w naszych czasach, kiedy zarówno z ciałem jak i z duszą nie za dobrze sobie radzimy. Mam nadzieję, że uda nam się zachować tradycję rozmowy obowiązującą w trakcie poprzednich spotkań w tej sali. Tym bardziej, że nie jestem dobrym wykładowcą, ani mówcą i najlepiej czuję się w dialogach.

Najistotniejsze pytanie jakie możemy i powinniśmy postawić w kwestii duszy i ciała brzmi; czy ciało i dusza to dwa - czy jedno? Aby przybliżyć się do odpowiedzi musimy cofnąć się do tego, co w różnych przekazach mitycznych i religijnych nazywane jest Początkiem i Oddzieleniem.

Wszystkie znane mi wersje Początku podkreślają, że u swego zarania człowiek żył w stanie całkowitej jedności z Bogiem i z Wszechświatem przebywając w krainie wiecznej szczęśliwości zwanej w tradycji chrześcijańskiej Rajem. Działo się tak ponieważ istota zwana człowiekiem doświadczała wówczas siebie i wszystkich innych zjawisk i istot jako przejawów jedyne, jednorodnego bytu. Byt ten zwany jest w religiach monoteistycznych Bogiem a np. w buddyzmie Prawdziwą Naturą albo Pustką. Inaczej mówiąc; człowiek został stworzony przez Boga na Jego wzór i podobieństwo. Całość była częścią, każda część była całością - tak jak każda fala jest morzem a morze każdą falą. Nie istniał więc żaden powód aby rajski człowiek czuł się podzielony na przestrzeń duszy i przestrzeń ciała.

Ale po jakimś czasie wydarza się coś dramatycznego i tajemniczego: człowiek zjada owoc z drzewa wiadomości złego i dobrego i zostaje wypędzony z Raju. Aby nie nabyć chronicznej odrazy do jabłek i jabłonek powinniśmy sobie zadać pytanie; czym w istocie było rajske drzewo i jego owoc? Z różnych interpretacji tej historii najbardziej przemawia do mnie ta, która drzewo uznaje za metaforę centralnego układu nerwowego człowieka a owoc zrodzony w koronie tego drzewa za pierwszą dyskursywną myśl powstałą w tym układzie - czyli w ludzkim umyśle. Ta pierwsza myśl dzieląca jedność wszechrzeczy na te dobre i na te złe, pociągnęła za sobą lawinę innych rozróżniających myśli w konsekwencji czego świat zaczął nam się jawić już nie jako świat jedności ale jako świat dychotomii i konfliktu. Ludzki umysł utracił swoją wrodzoną otwartość i niewinność a tym samym kontakt z prawdziwym, rajskim światem. Jednocześnie samozwańczo określił się jako byt odrębny i szczególny i rozpoczął swoją pozorną, wypełnioną cierpieniem egzystencję, w świecie przez siebie wymyślonym - w świecie własnej projekcji.

Zauważmy, że po zjedzeniu owocu z Drzewa Wiadomości, obie postacie ludzkie po raz pierwszy doświadczyły uczucia wstydu. W ich umysłach pojawiła się fałszywa, rozszczępiona świadomość ciała, jako przedmiotu różnego od podmiotu, który go doświadcza, a także fałszywe widzenie drugiego człowieka, jako bytu zasadniczo odrębnego. W ten sposób w umysłach pierwszych rodziców rozpoczął się lawinowy proces fragmentacji pierwotnej i doskonałej jedności boskiego bytu. Tak więc, zgodnie z tą interpretacją

wypędzenie z Raju należy uznać za tożsame i jednocześnie z pojawieniem się w naszym umyśle pierwszej dyskursywnej myśli. Wygląda na to, że tworząc iluzję oddzielenia sami i na własne życzenie postawiliśmy się poza granicami rzeczywistego, rajskiego świata. Choć z drugiej strony trudno uznać, że wydarzenie tej miary mogło się wymknąć boskim planom.

Jednak w kontekście naszej dyskusji nie to jest ważne. Ważne jest, że świadomość ciała, która pojawiła się w momencie oddzielenia związana była z uczuciem wstydu. Dlaczego człowiek pierwszy raz popatrzawszy na swoje ciało z perspektywy oddzielenia, zawstydził się? Skąd ta zasadnicza przemiana, od czasu której zawstydzenie ciałem nieustannie nam towarzyszy?

Reakcja pierwszych rodziców, którzy jeszcze przed chwilą znajdowali się w rajskim stanie umysłów, świadczy o tym, że zawstydzenie ciałem nie jest wynikiem wychowania, obyczaju czy przekazu kulturowego lecz jest związane z dyskursywnym myśleniem i wynikającym z niego fałszywym, dualistycznym postrzeganiem rzeczywistości. Przestaliśmy być i zaczęliśmy mieć. Najwyraźniej od tej chwili posiadanie ciała stało się kłopotliwe. Dlaczego?

Czas zastanowić się nad tym jak to co powstało w naszym umyśle w momencie oddzielenia, ma się do duszy? Czy słusznie z góry zakładamy (tak jak w sformułowaniu tematu tego cyklu wykładów), że to dusza właśnie wdała się w dychotomiczną, konfliktową relację z ciałem?

Wszystko wskazuje na to, że nie - że to nie dusza lecz wyobrażenie oddzielonego „ja”, zwane z łacińska „ego”, zamieszkało wówczas w ludzkim ciele. Współczesny filozof Ludwig Wittgenstein (1889 - 1951) zauważył, że podstawowym źródłem ludzkich zmartwień jest „skłonność aby wierzyć, że umysł przypomina małego człowieczka w środku naszej czaszki”. Kilkaset lat wcześniej bardzo podobnego sformułowania użył wielki japoński nauczyciel buddyzmu zen, Hakuin (1685 - 1768) konstatując, że „przyczyną naszych trosk jest złudzenie ego”. (Nawiasem mówiąc to buddyzmowi właśnie zawdzięczamy zrozumienie negatywnej roli ego w ludzkim życiu). Wszyscy ulegamy złudzeniu ego. Czyż nie wydaje nam się, że ludzik przypominający nasze lustrzane odbicie patrzy na świat przez peryskopy oczu, słucha mikrofonami uszu, dotyka świata przez kombinezon skóry i smakuje go poprzez kubeczki smakowe języka? Ego-Ja wyobraża sobie samo siebie jako autonomiczny, wyizolowany byt mieszkający gdzieś w naszym ciele - a najpewniej w mózgu.

Ze względów porządkowo-administracyjno-prawnych postulowanie istnienia ego jako autonomicznego bytu jest oczywiście pożyteczne i uzasadnione. Ja dostaje imię i nazwisko, świadectwo urodzenia, narodowość, adres, dyplomy, zaświadczenia i legitymacje, certyfikaty przynależności i posiadania, przydarzają mu się doświadczenia, które zapamiętuje i z którymi się identyfikuje, płodzi i wychowuje dzieci, które uznaje za swoje a na koniec dostaje potwierdzenie przeżytego życia - czyli świadectwo śmierci i pomnik nagrobny.

Ego i związane z nim poczucie odrębności z pewnością stanowi wygodne i jak się wydaje, niezbędne narzędzie do porządkowania międzyludzkich relacji(szczególnie własnościowych i - w szerokim tego słowa znaczeniu - terytorialnych) ale pozostaje nim tylko tak długo, jak długo dostrzegalna jest dla nas umowność i względność jego egzystencji. Ego przypisujące sobie naturalny, boski rodowód i absolutną władzę staje się nieobliczalne, groźne, destrukcyjne, - o czym wymownie świadczy cała ludzka historia a także aktualna kondycja planety zwanej Ziemią.

Przyznajmy więc, że moment wypędzenia z raju jedności w żadnej mierze nie był narodzinami duszy. Był narodzinami ego. W tym samym momencie zrodziła się także nasza

pycha i arogancja, stanowiące samą istotę ego, które pierwotnie zmanifestowało się przecież w akcie przeciwstawienia się zasadzie boskiej jedyności. Akt ten zwany jest w tradycji chrześcijańskiej pierwotnym grzechem nieposłuszeństwa. Myślę, że w kontekście naszych rozważań równie dobrze moglibyśmy nazwać go grzechem ego albo grzechem oddzielenia.

Zwróćmy uwagę, że grzech ten nie został popełniony gdzieś daleko, dawno temu, przez nieznanych nam ludzi, za winy których możemy teraz tylko cierpieć - ale że ma on charakter dynamicznego, nieustannie dziejącego się tu i teraz w naszych umysłach procesu, czegoś na kształt auto-indukowanej infekcji mózgu. Świat jest pełen Adamów i Ew. Ta sala również. To dobra i zła wiadomość. Zła, bo wygląda na to, że ponosimy za to osobistą odpowiedzialność, dobra, bo wygląda na to, że możemy coś z tym zrobić. Ale to już inna rozmowa.

W tym punkcie, niepostrzeżenie zmienia się temat naszych rozważań. Nie mówimy już o relacji ciało - dusza lecz o relacji ciało - ego. Takie sformułowanie tematu może uporządkować nasze myślenie w obu tych kwestiach. Po pierwsze dlatego, że nader często ego nazywamy duszą, zapominając o tym, że dusza została „tchnięta” w ciało w chwili stworzenia a nie w momencie oddzielenia. Co więcej dusza najwyraźniej nie przeszkadzała nam w rajskim pojednaniu ze Stwórcą. Nie mogła więc nosić żadnych znamion wyodrębniających ją z uniwersalnego i jedyne boskiego bytu, cech osoby czy przynależności - a to oznacza, że nie mogła pozostawać w relacji do czegokolwiek.

W takiej sytuacji dyskusja na temat relacji duszy i ciała staje się bezprzedmiotowa. Między duszą a ciałem nie może być bowiem żadnej relacji. Pierwotnie są jednym, jedynym i tym samym. Jeśli dostrzegamy jakąś relację między duszą i ciałem oznacza to, że przypisujemy duszy atrybuty ego. Robimy to zresztą nagminnie i nawykowo gdy mówimy: „ja mam duszę”, „moja dusza” albo „moja dusza jest uwięziona w ciele” - zapominając, że dusza należy do Boga czyli, że nie jest od Niego różna.

Czas na ważną konkluzję tych rozważań; skoro w istocie ciało wydaje się nie być różne od duszy a dusza wydaje się nie być różna od Boga, to musimy powziąć podejrzenie, że nasze podzielone na Boga, duszę i ciało istnienie jest być może, tylko wymysłem rozróżniającego umysłu-ego i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To podejrzenie lub zwątpienie, w narzucany przez umysł-ego obraz świata jest oczywiście koniecznym warunkiem podjęcia przez nas jakichkolwiek usiłowań zmierzających do jego odrzucenia, przejrzenia na oczy i spojżenia na świat z perspektywy umysłu jedności.

Ale musimy powrócić do głównego tematu naszych rozważań i przyjrzeć się temu jakie ego (już nie dusza) ma problemy z ciałem.

Jak ustaliliśmy oddzielone ego, z punktu widzenia pierwotnej zasady jedyne bytu, samo w sobie jest złudzeniem i jak każde złudzenie produkuje następne złudzenia, które możemy nazwać meta-złudzeniami. Podstawowym meta-złudzeniem ego jest złudzenie posiadania i kontroli.

Ciało, w przeciwieństwie do ego, stworzone na wzór i podobieństwo Stwórcy może szczyścić się nie dającą się zakwestionować boską genealogią. W tej sytuacji, sztucznie oddzielone od procesu przejawiania się jedyne boskiego bytu ego, przypomina pełną pychy i arogancji - a w istocie samotną, przerażoną i zrozpaczoną - zjawę, która słusznie choć na ogół skrycie, wątpi w swoje istnienie. W tej sytuacji posiadanie i kontrola stają się dla ego jedynym dostępnym potwierdzeniem nieustannie zagrożonego poczucia istnienia jako rzeczywisty byt.

To stałe zagrożenie unicestwieniem sprawia, że posiadanie i kontrola stają się prawdziwą obsesją ego. W związku z tym zagarnia ono wszystko - ale i tak nigdy nie zostaje nasycone. Twierdzi więc, że ma ciało i że ma duszę. Mówi: to ja żyję to życie. Przywłaszcza sobie cnoty i talenty. Wydaje mu się, że posiada innych ludzi np. żonę, męża, dzieci. Wyobraża sobie, że Bóg mu oddał świat we władanie. Zawłaszczyło nawet samego Boga, w którego wierzy albo nie wierzy, zna albo nie zna, arogancko mieni się Jego obrońcą i rzecznikiem albo uznaje Go za sojusznika w swoich szalonych, nienawistnych i chciwych przedsięwzięciach.

Ale wróćmy do tematu relacji ego - ciało i przyjrzyjmy się temu co ego wyrabia z ciałem, gdy próbuje je posiąść i zdominować - ukraść Panu Bogu. W pierwszym, najważniejszym etapie tej kampanii ego utwierdza się w przekonaniu, że to ono a nie ciało jest bliskim krewnym Stwórcy, czyli uzurpuje sobie boskie pochodzenie. Dalej wszystko jest już bardzo proste. Ciało zostaje przez ego sprowadzone do gatunku istot niższego rzędu i obarczone wszystkim co najgorsze. Teraz takie pseudo-religijne ego może spokojnie przypisać ciału wszystkie swoje grzechy i patologie i doznać upragnionego oczyszczenia. Od tej pory w przebraniu boskiego namiestnika może dowolnie manipulować ciałem w ramach różnorodnych, wymyślnych, nierzadko okrutnych, programów naprawczych i edukacyjnych mających ponoć służyć zbawieniu duszy. Chodzi o skrajne praktyki ascetyczne takie jak; głodzenie, umartwianie, bicie, torturowanie i okaleczanie ciała.

Ale nie każde ego ma ambicje religijne, w imię których znęca się nad ciałem. Mogą być to również ambicje sportowe, finansowe czy te związane ze społecznym statusem, potrzebą sławy, wpływu i znaczenia. W każdym z tych wypadków ciało grozi ze strony ego lekceważeniem, nadużyciem, manipulacją i zaniedbaniem. Podobnie rzecz ma się wówczas, gdy ego nie jest zadowolone z wyglądu albo płci ciała, w którym wiecie swoją pozorną, pasożytniczą egzystencję. Wtedy ciało zmuszane jest do odchudzania, obsesyjnych ćwiczeń fizycznych, przechodzenia operacji plastycznych, operacji zmiany płci a w skrajnych wypadkach zostaje nawet pozbawione życia. Ciało zabijane bywa również wtedy, gdy ego nie czerpie wystarczającej satysfakcji ze swoich osiągnięć lub czuje się zranione niemożnością sprawowania kontroli nad przemijaniem i życiem jako takim. Choroba i perspektywa nieuniknionej śmierci ciała, jest druzgocącym ciosem w iluzję posiadania i kontroli pracowicie podtrzymywaną przez ego. Śmierć jest niewątpliwie śmiertelnym wrogiem ego. Dlatego zapewne, największą utopią i obsesją ego jest nieśmiertelność i zmartwychwstanie jego ciała, na co dzień wyrażające się tendencją do przedłużania życia ciała za wszelką cenę i poza wszelką rozsądną miarę.

Często bywa tak, że ego używa ciała w celu dostarczenia sobie komfortu, bezpieczeństwa, przyjemności lub poczucia większej kontroli nad światem przeżyć i emocji. Folguje wtedy swoim potrzebom i fobiom nie biorąc za to odpowiedzialności ponieważ na samym początku wygodnie ulokowało w ciele wszystkie swoje dewiacje i wynaturzenia. Może więc bezkarnie nadużywać ciała skłaniając je np. do obżarstwa, kompulsywnego seksu, popadania w uzależnienia i w narkomanie a jednocześnie odgrywać tragiczną rolę bezradnej ofiary owdładniętej przez swoje zwierzęce ciało.

Dochodzimy więc do ważnego wniosku, że zarówno asceza jak i hedonizm mają tego samego rodzica, któremu na imię ego i dlatego nie są w stanie rozwiązać problemu ciała. Cóż więc mamy począć z tym ciałem? Czy wystarczy zmienić nasz stosunek do niego, polubić je i obdarzyć szacunkiem? Czy raczej należałoby rozgrzeszyć je z nie popełnionych grzechów i

pociągnąć do odpowiedzialności właściwego sprawcę czyli ego? Czy istnieje jakiś sposób na uwolnienie ciała z niewoli uzurpatora? Czy jednocząc się na powrót z ciałem, pojednalibyśmy się tym samym ze wszechświatem, z Bogiem? Czy możliwe jest przekroczenie Rubikonu oddzielenia w drugą stronę?

Próby znalezienia odpowiedzi na te wielkie pytania od zarania dziejów podejmowane są przez mistyków różnych tradycji religijnych. Rezultaty tych usiłowań buddyzm nazywa przebudzeniem a religie monoteistyczne - pojednaniem z Bogiem. Dopóki jednak nie doświadczymy takiego pojednania, to stojąc przed lustrem patrzeć będziemy na ciało oczyma ego a nie duszy. Gdyby patrzyła dusza, to nie miałaby nic za ani nic przeciw temu ciału - i nie odczuwałaby wstydu.

Mimo to spróbujmy choć przez chwilę wyobrazić sobie, że patrzymy na ciało oczyma duszy. Czy czegoś mu brakuje? Czy ma jakieś ambicje? Czy chce wyglądać inaczej niż wygląda? Czy marzy mu się nieśmiertelność? Czyż nie jest tak, że to ciało chce tylko przeżyć swój czas poczciwie i skromnie, we względnym zdrowiu i harmonii ze światem?

Przecież od zawsze same będąc przejawem wiecznego cyklu narodzin i śmierci, z umieraniem nie ma żadnego kłopotu. Wie co to umiar i rytm; w jedzeniu, w picciu, w seksie, w pracy, w odpoczynku i w zabawie. Nie ma w nim żadnej intencji aby sobie szkodzić. Potrafi kochać, troszczyć się i cierpieć. Nie jest chciwe ani ambitne i tak niewiele potrzebuje do szczęścia. W istocie - jest tylko Bogu ducha winne.

Czyż nie uczynilibyśmy najlepiej, dając ciału święty spokój i zwracając je wraz z duszą, prawowitemu, boskiemu władcy?

Ale to oznacza trudne pożegnanie z ulubionym wyobrażeniem, że gdzieś w naszym ciele mieszka człowieczek patrzący przez peryskopy oczu, słuchający przez mikrofony uszu, dotykający przez kombinezon skóry i drżący ze strachu na myśl o tym, że jego ciało kiedyś umrze.

Mistycy wszystkich religii zapewniają nas jednak z całą powagą, że jeśli ów człowieczek - ego umrze zanim umrze ciało - to w jednej chwili, nie poruszając się z miejsca, znajdziemy się z powrotem w Raju. Coś za coś. Wybór należy do nas.

A teraz dyskusja.

*

P. Skoro uważamy zwierzęta za istoty częściowo idealne, to dlaczego zwierzęca agresja, którą odziedziczyliśmy od zwierząt i którą EGO częściowo kontroluje, uznawana jest przez Pana za zjawisko negatywne?

WE. „Istota idealna” to termin niebezpieczny. Idealne jest to co zwyczajne to co jest takie jakie jest. Zwierzę jest tym, czym jest, niczym więcej, niczym mniej i dlatego nazywane jest „idealnym”. Ktoś bawiąc się słowem „idealne” i wyobrażeniami, które uruchamia powiedział, że zwierzę jest istotą „idealną”, bo zajmuje tylko to miejsce na którym stoi. Widział Pan kiedyś człowieka, który zajmuje tylko to miejsce na którym stoi? Gdyby zapytać ego ile miejsca zajmuje na świecie, to naprawdę byłoby tego dużo. A ile rzeczy potrzebuje aby się czuć bezpiecznie. Ekspansja zagrożonego ego jest tak wielka, że wydawać by się mogło, iż ta planeta nie jest naszym domem, że przybyliśmy tu nie wiadomo skąd i musimy tworzyć specjalne miasta - rezerwy aby utrzymać się przy życiu. Jeśli chodzi o agresję, to agresja

zwierząt w porównaniu z agresją człowieka to niewinne igraszki. Jest wyłącznie instynktowna, nie jest wzmacniana przez ego, i używana w służbie jego egotycznych wyobrażeń. Np. takich jak; „jestem wielkie i ważne”, „wszystko mi się należy” albo „inni są okropni i należy ich zlikwidować”. Stereotyp, który każe nam sądzić, że świat zwierząt jest straszny i agresywny, a my ludzie piękni i kochający, trzeba jak najprędzej porzucić. Nasza naturalna popędowość staje się nieobliczalna i zwyrodniała przez to, że zostaje wprzęgnięta w służbę ego. Aby ten niebezpieczny proces kontrolować, poprzez wychowanie i uczestniczenie w tzw. wyższej kulturze, instalujemy w naszych umysłach kontrolera zwanego „superego” ale i on przysparza wielu kłopotów bo jest na ogół albo zbyt albo nie dość represyjny.

P. Chciałam się Panu pokłonić za to, że powiedział Pan, że nie wie czym jest dusza. Takie przyznanie, to jest kwestia odwagi.

Agresja zwierząt jest w pełni usprawiedliwiona, jest związana z kwestią przeżycia, natomiast ludzie... im więcej mają tym więcej chcą mieć.

Mówił Pan że JA może się mieścić w różnych miejscach, ale jeżeli poprosić o gest towarzyszący słowu JA, to większość ludzi kładzie rękę na sercu.

WE Ja też brałem kiedyś udział w warsztatach, gdzie poproszono uczestników o położenie ręki na tej części ciała gdzie mieszka JA i większość położyła rękę na czole. Może dlatego, że to byli mężczyźni?

P. Chciałabym jednak coś dodać o duszy. Z Pana wypowiedzi wynika, że jeśli próbujemy jakoś kontrolować swoje życie, to są to przejawy działania wyłącznie EGO. Zgoda, jeżeli są to decyzje egoistyczne, ale co powiedzieć o decyzjach altruistycznych, kiedy coś robimy na rzecz dobra ogólnego, to już chyba nie jest dzieło EGO?

WE Ma Pani rację. Na szczęście w naszym życiu przejawiają się nie tylko działanie EGO

P. No właśnie. Chciałam się też ustosunkować do Pana tezy o niewinności ciała, nie wydaje mi się, by było ono tak bardzo niewinne, bo jak obserwuję siebie, to widzę, że jednak muszę przywoływać swoje ciało do porządku, bo najchętniej by cały dzień siedziało na tapczanie, a może nie wstawało z łóżka, licząc na to, że ktoś mu coś poda do jedzenia. Ja nie twierdzę, że ono jest grzeszne.... chodzi mi o to, że jest materialne i ta materia stwarza pewien opór i woli nie działać, jeżeli tylko może.

WE. Ja myślę, że nie można z góry odrzucić ewentualności, że Pani ciało zostało zdemoralizowane przez EGO albo w ten sposób buntuje się przeciwko jego niemądrym rządcom.

P. Nie podoba mi się to sformułowanie, że zwierzęta nie mają EGO. To przecież nie tylko jest świadomość bytu, ale w ich życiu jest miejsce na emocje, a nikt kto miał zwierzęta nie powie, że są one pozbawione emocji.

WE Wolałbym emocje zwierząt przypisać umysłowi wolnemu od EGO czyli duszy.

P. Czy dusza, która dąży do jedności, nieskończoności, nie powinna jednak być na tej drodze przewodnikiem, zamiast ciała?

WE Jeśli dusza do czegoś dąży, to nie jest to dusza. Dusza jest wolna od jakiegokolwiek dążenia.

P. Czasami kiepska kondycja naszego ciała powoduje kiepski stan duszy. Jak układa się relacja duszy i podstawowe wymagania co do wyglądu i samopoczucia.

WE Znowu mylimy duszę z EGO. To EGO czuje się kiepsko w takiej sytuacji. Dusza cierpi tylko z jednego powodu; że została w umyśle człowieka oddzielona od jedyne boskiego ciała.

P. Jeżeli EGO jest tym, co nas oddziela od doskonałości, to kiedy przestajemy przypisywać uczucia EGO, a zaczynamy przypisywać duszy, skoro nie wie Pan co to jest dusza?

WE Dusza rozumiana tak jak buddyści rozumieją pojęcie Prawdziwej Natury nie należy do nikogo, nie może być posiadana i niczego nie posiada. W chwilach, o których Pani mówi, kiedy robimy coś, co wykracza poza egocentryczny punkt widzenia i potrzeby np. narażamy życie w obronie innego życia albo przeżywamy bezinteresowny zachwyt tym co naturalne i oczywiste, nie możemy już nic nikomu przypisać. Ani ego ani duszy.

P. Kto się może z naszą duszą kontaktować - czy tylko my sami? Gdy Pan np. spotyka się z drugim człowiekiem, który prosi Pana o pomoc, to z kim (czym) Pan rozmawia: z jego EGO, czy z duszą?

WE W istocie byt jest jedyny i nie podzielny. Nie może być dwóch dusz. Więc mówiący i słuchający to też nie dwa. Jeśli jestem tak skupiony, że zapomnę o sobie, zapomnę o ego, to.... rozmawiam sam ze sobą.

P. Mam uwagę: poruszamy się w modelu dychotomii - ja i ciało (Pan ucieka od tej duszy). Dla mnie ten model jest kiepski i problem leży gdzie indziej. Jeżeli uznamy teorię ewolucji i uznamy, że różnica między nami i zwierzętami jest wyłącznie ilościowa i nie pojawiają się w nas wyższe byty, to zwierzęta mają emocje, odczuwają je, przetrawiają swoim układem nerwowym. Wraz ze wzrostem jego komplikacji, wynikającym z kontaktu z coraz większą liczbą bodźców i umiejętnością zachowania się w coraz trudniejszych sytuacjach pojawia się samoświadomość. Tu leży dla mnie problem: nie w dychotomii, tylko gdzie umieścić tę samoświadomość. Może to jest cecha charakterystyczna złożonych układów nerwowych i tyle.

WE Wszystkie modele są kiepskie, tylko opisują rzeczywistość, ale nią nie są. Mogą być mniej lub bardziej użyteczne. Skąd się wzięła samoświadomość? Niektórzy twierdzą, że człowiek przyjmując pozycję pionową znalazł się w innym polu energetycznym i to spowodowało nagły przyrost energii świadomości skutkiem czego stała się ona świadoma samej siebie. Ale chyba nie w tym rzecz bo zapewne na tym polega stworzenie człowieka na wzór i podobieństwo boskie. Ważne jest jak odpowiadamy sobie na pytanie; komu się to wszystko przydarza?

Jeśli odpowiemy, że to mnie się przydarza to znaczy, że tkwimy w błędzie oddzielenia, w grzechu ego. Więc komu to wszystko się przydarza? Kto jest tego wszystkiego świadomy? Kto jest świadomy sam siebie? Czy uświadamiające i uświadamiane to dwa czy jedno? Te pytania umykają wszelkim modelom i koncepcjom bo intelekt jest wobec nich bezradny.

P. Czy instynkt jest wytworem ciała czy EGO, byłam już skłonna stwierdzić, że EGO i wtedy trzeba by przyznać, że zwierzęta mają własne EGO

WE Instynkt jest naturalny, nie jest produktem EGO. EGO może instynktem manipulować w imię swoich celów np. hedonistycznych, narcystycznych, ascetycznych czy pseudo-religijnych.

P. Jak można rozpoznać, czy człowiek angażuje się w służbie EGO, czy duszy.

WE Osobą która potrafi to ocenić jest doświadczony nauczyciel duchowy. Jeżeli próbujemy oceniać się sami, to ryzykujemy nadmierną surowość lub pobłażliwość. Jeśli jednak nauczyciela nie ma w pobliżu a to co robimy uwalnia nas stopniowo od skrajnych emocji a także potrzeby znaczenia, posiadania, mocy, wpływu, doznawania wyłącznie bezpieczeństwa i komfortu, jeżeli nasze ciało się rozluźnia i lepiej funkcjonuje i częściej doznajemy chwil szczęścia i spokoju - to znaczy, że jesteśmy na dobrej drodze.

P. Bez sensu jest chyba twierdzić, że ciało jest winne lub niewinne. Ponieważ mamy EGO, to chcemy posiadać. Egzystowanie takie, żeby wyzbyć się chęci posiadania traci sens. Może to jest wielki blef, a my wcale nie mamy duszy?

WE. Niewinność ciała możemy odkryć tylko przez zjednoczenie się z nim. Zaawansowane techniki medytacji służą temu by wejść w taki stan jedności z ciałem, w którym zanika granica podmiot/przedmiot i odsłania się duchowy wymiar naszego istnienia. Wtedy okazuje się, że blefem jest EGO.

P. Czym dla Pana jest mistycyzm?

WE Nie lubię tego słowa, używam go z konieczności. Mistycyzm to praktyczne podejście do poznawania tajemnicy ludzkiego istnienia w świecie polegające na zadawaniu pytań zasadniczych, trudnych choć w istocie bardzo prostych. Jeśli Pan chce na chwilę stać się mistykiem, to proszę zamknąć oczy. Słyszysz mnie Pan? Czy teraz słyszysz mnie Pan? Jeśli tak to proszę teraz zadać sobie pytanie; czy ten dźwięk, który Pan słyszy, jest wewnątrz czy na zewnątrz? Jeśli to pytanie Pana zainteresowało i będzie je Pan sobie przypominał kilka razy na dzień to będzie Pan mistykiem.

P. W kategoriach poznawczych, to co my przeżywamy jest godzeniem EGO z rzeczywistością, w trakcie czego zapominamy o EGO, ktoś nas tą ścieżką prowadzi...

WE To co widać na tej sali świadczy o tym, że tzw. mistycyzm staje się przedmiotem zainteresowania coraz większej liczby ludzi. Zgadzam się z Panem, że ludzkie życie, czy tego chcemy czy nie, jest jedną wielką lekcją mistycyzmu. Każdy z nas musi uporać się jakoś z przemijaniem i z nieuniknioną śmiercią ciała. Nasz los i nasze ciało, to nasi wielcy nauczyciele duchowi.

P. Jeżeli różne próby zrozumienia świata, to tylko sposoby zrozumienia rzeczywistości, to dlaczego mamy taką potrzebę tego opisu, jako dzieci pytamy „co to jest”? Ta potrzeba poznawania świata w nas zostaje i czy jest taki sposób, który pozwoliłby uniknąć konfliktu między teorią a rzeczywistością?

WE Jest taki sposób. Dam Panu przykład praktycznej lekcji wychowania w duchu mistycyzmu. Gdy będzie Pan ojcem, a dziecko widząc żabę zapyta „Co to jest?” to jeżeli powie Pan: „to jest coś co nazywa się żabą” to będzie odpowiedź mistyczna, a jeśli Pan powie: „to jest żaba”, to narobi Pan dziecku zamieszania w głowie i oddali je od prawdy.

P. Całe pojęcie duszy, z którym się stykamy powstaje na gruncie religijnym. Tylko wtedy słyszymy o duszy i o niej rozmawiamy. A więc może jednak dusza nie istnieje? Czy Pan mógłby dać przykłady na to, że dusza istnieje, i dlaczego powinniśmy tak zakładać, podczas gdy jej zanegowanie rozwiązałoby wiele spraw.

WE Istnieje takie niebezpieczeństwo, że w naszym myśleniu o duszy dokonujemy projekcji naszego EGO, że w ten sposób próbujemy sobie załatwić subtelny formę przetrwania jako JA. JA oprócz ciała mam duszę i po śmierci ciała JA będę tą duszą. Trzeba się poważnie zastanowić o co tu chodzi Nie wolno poprzestawać na automatycznie wypowiedzianych zdaniach. Zapytajmy więc: kto to jest to JA, które ma duszę? To są pytania, które musimy sobie zadawać, jeżeli chcemy wykraczać w rozumieniu naszego życia poza wyobrażenia i stereotypy.

P. A jeśli ktoś się w kims zakochuje, to czy jest to wpływ EGO czy ciała?

WE. Dopóki Pan ma silne poczucie EGO i ogląda Pan świat i swoją ukochaną oczyma tego człowieczka w środku, to nie ma wątpliwości, że to EGO się zakochuje. Jeśli Pan poczuje, że Pan chce posiadać tę osobę, lub że jest ona obietnicą szczęścia i rozwiązaniem Pana życiowych dylematów, to znaczy, że to jest EGO. Natomiast jeżeli Pan popatrzy w oczy swojej ukochanej i poczuje Pan, nie pomyśli ale doświadczy tego, że patrzy Pan na siebie widzącego siebie, to znaczy, że Pan kocha bez EGO.

*

Post Scriptum:

Drodzy Słuchacze i Dyskutanci. Powyższy skrypt nie jest wiernym zapisem mojego wykładu i dyskusji, która po nim miała miejsce. Jest to wersja poprawiona i ulepszona. W wielu miejscach dopiero po namyśle nad tekstem mogłem wypowiedzieć się tak jak bym chciał to uczynić na gorąco. Ego nadal przeszkadza.

Umysł uzależniony

Tym, co skazuje nas wszystkich na nieuchronne uzależnienie, jest niepewność co do naszej tożsamości prawdziwej i związany z nią lęk. W tej trudnej sprawie uzależnienie ma pozory rozwiązania idealnego. Znieczula niepokój, usypia wątpliwości, a na dodatek pochłania cały nasz czas i energię. Sprawia, że wydaje nam się, iż wreszcie wiemy, kim jesteśmy i czemu warto poświęcić życie. Na przełomie wieków ludzki świat zdał sobie sprawę z panującej od zarania dziejów epidemii uzależnień. Choroba ta przybiera formy tak wielorakie i pochłania taką liczbę ofiar, że nie sposób nie powziąć podejrzenia, iż istota ludzka w swojej konstrukcji ma jakiś podstawowy defekt. Jest to zapewne grzech pierworodny, który czyni uzależnienie niezbędnym sposobem na przeżycie poza rajem... Chyba nikt albo prawie nikt nie jest w stanie się go ustrzec. To jedynie kwestia momentu i okoliczności zetknięcia się z naszym „uzależniającym alergenem”. Porównanie do alergenu nie jest tu przypadkowe. Nie tylko dlatego, że choroba uczuleniowa również ma wymiar epidemiczny. Przede wszystkim dlatego, że nasza reakcja na „uzależniacz”, podobnie jak na alergen, często bywa dla nas całkowitym zaskoczeniem. A uzależnić się możemy niemalże od wszystkiego. Epidemia U zatacza więc coraz szersze kręgi, siejąc spustoszenie w naszych sercach i umysłach,

unieważniając nasze dotychczasowe związki z ludźmi i ze światem. Sprawia, że albo się izolujemy i nikt nie ma z nas żadnego pożytku, albo, co gorsza, uznajemy, że nasze uzależnienie jest najlepszą receptą na problemy świata, i czynimy z niego zażarcie propagowaną ideologię. Jednak najbardziej niebezpieczne jest to, że uzależnienie staje się naszą pozorną tożsamością uwalniającą nas od konieczności poszukiwania naszej tożsamości prawdziwej. I tak np. alkoholik na pytanie: „kim jesteś?” - odpowiada: „jestem alkoholikiem”. Uzależniony od swojej ideologii liberał czy socjalista odpowiada: „jestem liberałem” albo „jestem socjalistą”. Uzależniony od religii swoje egzystencjalne i duchowe wątpliwości usypia zapożyczoną tożsamością religijną. Zagubiony nastolatek odetchnie z ulgą, gdy będzie mógł o sobie pomyśleć, że jest kibicem jakiegoś piłkarskiego klubu lub fanem rockowego zespołu. Podobnie rzecz się ma z uzależnionymi od statusu, pieniędzy, własnego wizerunku, firmy, od pracy i braku pracy, od domu i bezdomności - i z wieloma innymi, których nie sposób tu wymienić. Wygląda więc na to, że tym, co skazuje nas wszystkich na nieuchronne uzależnienie, jest niepewność co do naszej tożsamości prawdziwej i związany z nią lęk. W tej trudnej sprawie uzależnienie ma pozory rozwiązania idealnego. Znieczula niepokój, usypia wątpliwości, a na dodatek pochłania cały nasz czas i energię. Sprawia, że wydaje nam się, iż wreszcie wiemy, kim jesteśmy i czemu warto poświęcić życie. Gorączkowo kreujemy konflikty, bo w ogniu walki, w opozycji do inaczej uzależnionego wroga nasza chwiejna, iluzoryczna tożsamość stabilizuje się i wzmacnia. Wiemy, że zwycięzca dostaje dodatkową premię. Uzależnienie zwycięskie przybiera pozór obowiązującej prawdy - co odurza nas jeszcze mocniej i wydaje się nieść upragniony spokój. Dlatego wojna i konflikt są nieodwołalnie wpisane w świat uzależnionych umysłów.

Prędzej czy później pseudolekarstwo uzależnienia musi okazać się gorsze od choroby niepewności i lęku. Lecz wtedy, niestety, naszym programem i legitymacją na resztę życia staje się wychodzenie z uzależnienia i błędne koło zatrząskuje się wokół nas - wydawać by się mogło - na zawsze. Jednak wbrew pozorom nie tracimy szansy odnalezienia takiej tożsamości, która przyniesie nam prawdziwy spokój i radość. Zabrzmie to patetycznie, ale trudno - tą nadzieją jest nasza przyrodzona potrzeba poszukiwania wolności i prawdy nazywana również potrzebą wyzwolenia albo zbawienia. By pozostać jej wiernym, nie wolno ulegać pokusie identyfikowania się z czymkolwiek, co wydaje się być w naszym posiadaniu lub być naszym udziałem. Przy każdej okazji pytać siebie o to, czy posiadanie lub nieposiadanie, pozycja i przynależność (lub ich brak) mają się w jakikolwiek sposób do tego, czym w istocie jesteśmy. Bądźmy nieustraszeni i pytajmy dalej: jak to, czym jesteśmy, ma się do przemijania, do młodości i starości, zdrowia i choroby, rodzenia się i umierania. Te fundamentalne pytania uchronią nas przed gorączkowym identyfikowaniem się z pozorami, przed koniecznością rozpaczliwej ich obrony i wszystkich nieszczęść, które mogą z tego wyniknąć. Stare chińskie przysłowie ostrzega: skarb wniesiony frontową bramą nie jest prawdziwym skarbem domu.

Wyścig szczurów

Dostajemy wszyscy tę samą propozycję: mamy stać się superwydajnymi producentami i konsumentami żyjącymi iluzją konsumpcyjnego raju. Wmawiamy sobie, że szczęśliwi są ci, którzy mogą sobie dużo kupić, w rezultacie naszą wolność redukujemy do wyboru rodzaju śmierci. Albo umrzemy z przepracowania, albo z głodu. System ekonomiczny, w którym żyjemy, w coraz mniejszym stopniu nam służy. Nie pozwala żyć po ludzku, realizować

najistotniejszych aspiracji: potrzeby poświęcania innym czasu i uwagi, potrzeby uczestniczenia w społeczności, która uczy, wspiera i chroni, potrzeby tworzenia trwałych związków, kochania się, przyjaźnienia i wychowywania dzieci, bycia w zgodzie z przyrodą, ze sobą oraz z własnym sumieniem, potrzeby wolnego czasu, wolnej twórczości, doświadczania radości i zachwyty, potrzeby duchowych poszukiwań i czynienia dobra.

Narastająca frustracja tych potrzeb czyni nas coraz bardziej nieszczęśliwymi, agresywnymi, chorymi i zagubionymi. W zamian dostajemy wszyscy tę samą propozycję: mamy stać się superwydajnymi producentami i konsumentami żyjącymi iluzją konsumpcyjnego raj. Wmawiamy sobie, że szczęśliwi są ci, którzy mogą sobie dużo kupić, w rezultacie naszą wolność redukujemy do wyboru rodzaju śmierci. Albo umrzemy z przepracowania, albo z głodu. Jeśli chcemy mieć czas i siły na robienie tego, czego potrzebujemy bardziej niż powietrza, to nie będziemy mieli na jedzenie i na rachunki, a dzieci będą się nas wstydzić. Ponieważ śmierć z przepracowania wydaje się nam mniej prawdopodobna, stajemy w szeregu budowniczych i żołnierzy systemu, który konsumuje nie tylko produkty i usługi, lecz przede wszystkim tych, którzy mu służą. Mało tego. Pożera nawet ideę, która go powołała do życia i wspiera. Z wolna przeżuwa demokrację. Upragniony wolny rynek okazał się targiem niewolników. Pułapką. Jednokierunkową ślepą uliczką, którą z obłędem w oczach pędzą umęczeni ludzie poruszani uzależnieniem od pracy, pieniądza, słodyczy, alkoholu, seksu, papierosów, narkotyków, leków i przedmiotów - od luksusu, sukcesu, popularności i znaczenia. Nikt nie zważa na tych, którzy padają z wyczerpania porażeni lękiem i rozpaczą - zawstydzeni swoją słabością. A padają zarówno biedni, jak i bogaci, wielcy i mali. Nie ludźmy się. Nie ma takich, którym ten system służy. Ci, którzy wydają się na nim korzystać, w istocie najwięcej tracą, są najbardziej zagrożeni. Mówimy z autoironią, że uczestniczymy w wyścigu szczurów. Zapominamy, że wyścig nie jest naturalnym sposobem szczurzego życia. Wyścigi zgotowali szczerom ludzie - psychologowie badający w laboratoriach tajemnice mechanizmu uczenia się i inteligencji ssaków. Wygłodzone szczury wpuszczano do labiryntów i obserwowano, jak prędko nauczą się najprostszej drogi do karmnika. Nie mogąc znaleźć drogi w krętych labiryntach, szczury walczyły i ginęły. Gdy się jej w końcu nauczyły, biegały do upadłego i trudno było zmienić cokolwiek w ich zachowaniu.

Szczury nie miały wyboru. Aby zdobyć coś do zjedzenia i przeżyć, nieświadomie składały swe życie w ofierze na ołtarzu nauki. Ale my nie musimy poświęcać życia dla pieniędzy i przedmiotów. Nikt nas nie wpuścił w ten labirynt. Sami się wpuściliśmy. Skoro tak, to powinniśmy potrafić z niego wyjść. Problem w tym, że tyle już razy próbowaliśmy stworzyć system służący ludziom i zawsze okazywało się, że to ludzie muszą służyć systemowi. Wygląda więc na to, że przyczyna tkwi w nas - w tym, że nie potrafimy dochować wierności naszym najgłębszym potrzebom. Czyżby jedyna nadzieja była w tych padających z wyczerpania, doświadczających lekcji pokory wobec własnej człowieczej natury, która zdradzana i ignorowana prędzej czy później upomni się o swoje prawa? (Oby tylko chcieli, nie wstydzili się i zdążyli dawać świadectwo). Czyżby to oni, którzy nie chcą się już ścigać, byli awangardą nowego wieku? Myślę, że nadzieja również w tych, którzy zechcą być mądrzy przed szkodą - którzy potrafią się zatrzymać, pozwolą własnej duszy, by ich dogoniła, i zaczną jej słuchać. To nie takie trudne. Wystarczy raz dziennie, najlepiej w czasie gdy przeżywamy spadek energii i pojawia się senność, wyłączyć się z wszelkiej aktywności na nie więcej niż dziesięć minut i świadomie, uważnie oddychać, ignorując wszystko, co poza tym pojawia się na widnokręgu umysłu. Poza tym regularnie dzień święty święcić, chodząc na

długie spacery po lasach i polach. Jeśli jesteśmy już uzależnieni od pracy, pośpiechu i adrenaliny, to raz na rok wyjeżdżajmy na urlop nie krótszy niż trzy tygodnie. Pierwszy tydzień będzie męką „detoksu”, odtruwania - dogonią nas lęk, niepokój, napięcie. Drugi będzie męką odwyku - dogoni nas smutek i niejasna, acz dojmująca tęsknota. To tęsknota za sobą. Jeśli wytrwamy, to trzeci tydzień stanie się okazją do refleksji, opamiętania i głębokiego wypoczynku. Powodzenia

Przepis na męczyznę

Przypuszczam, że tym, którzy odmawiają udziału w płodzeniu, uchodzi to na sucho tylko dlatego, że ludzkość uznała, że jak by chcieli, to by mogli - a nie chcieli, bo byli lub są czymś ważniejszym zajęci. Obowiązuje reguła, że osoba płci męskiej ma prawo poczuć się prawdziwym mężczyzną dopiero wtedy, gdy wybuduje dom, posadzi drzewo i spłodzi syna. Dwa pierwsze elementy tego odwiecznego, starego jak patriarchat przepisu na męczyznę wydają się w miarę zrozumiałe. Zbudowanie domu - nawet gdy nie budujemy go jak kiedyś, własnymi rękami, lecz przy pomocy tzw. fachowców - na ogół wymaga herkulesowej determinacji i siły oraz końskiego zdrowia. Wymóg posadzenia drzewa słusznie domaga się od aspiranta świadomości ekologicznej i zwrócenia ziemi długu zaciągniętego w postaci drewna zużytego na budowę. Nie mówiąc już o umiejętności posługiwania się łopatą i podstawowej orientacji w tajnikach ogrodnictwa. Spłodzenie syna - już na pierwszy rzut oka jest politycznie niepoprawne, budzi opór i domaga się krytycznej analizy. I historia, i współczesność, a także religijne przekazy i mitologie pełne są przykładów mężów wspaniałych, którzy z różnych powodów nie spłodzili nikogo - nawet córki - i w dodatku świadomie odmawiali i odmawiają udziału w płodzeniu. Co gorsza, w wielu wypadkach nie wiadomo nawet, czy wybudowali choćby lepiankę. Mimo to nikt nie kwestionuje ich męskich kwalifikacji. Dlaczego? Niestety, odpowiedź, która się narzuca, nie jest pocieszająca dla walczących z hydrą patriarchalnych stereotypów. Przypuszczam, że tym, którzy odmawiają udziału w płodzeniu, uchodzi to na sucho tylko dlatego, że ludzkość uznała, że jak by chcieli, to by mogli - a nie chcieli, bo byli lub są czymś ważniejszym zajęci. Jeśli chcemy dalej uczciwie snuć nasze rozważania, musimy w tym miejscu upomnieć się o tych, którzy nawet gdyby chcieli spłodzić kogokolwiek, to i tak by nie mogli - czyli o bezpłodnych i o zdeklarowanych homoseksualistów. Na pierwszy rzut oka widać, że wymóg spłodzenia męskiego potomka nie daje tym ludziom szans ubiegania się o godność mężczyzny, nawet gdyby wybudowali osiedle wieżowców i posadzili wielki las. A przecież tak wielu z nich było i jest wielkimi, niezwykle płodnymi mężami ducha, sztuki, literatury, polityki, gospodarki i sportu. Co począć z tymi, którzy - choć zdolni i szczerze skłonni do płodzenia - nie zdołali spłodzić syna? Dlaczego im także odmawia się godności mężczyzny? Iluż pośród nich było i jest potężnymi władcami, żołnierzami, politykami, odkrywcami, twórcami. Iluż z nich jest po prostu zwykłymi, dzielnymi ludźmi wspierającymi codziennym trudem kolejne ideologiczne, ustrojowe i wielkościowe aberracje swoich niezwykle męskich przywódców? Dlaczego oni wszyscy, stanowiący zapewne zdecydowaną większość ludzkich osobników płci męskiej zamieszkujących naszą planetę, mają czuć się gorsi od tych, którzy niesłusznie przypisują sobie zasługę za to, że zagrawszy na loterii genetycznej, spłodzili akurat syna. Pomyślmy też o tych nieprzeliczonych, niesprawiedliwie obwinianych żonach, kochankach i nałożnicach, które swoim mężczyznom nieopatrznie urodziły córki (nie mówiąc już o samych córkach), od wieków cierpiących z powodu tego dziwaczego przepisu na męczyznę. Jego geneza wydaje się oczywista. Jeszcze sto lat temu świat należał wyłącznie do męczyzn. Syn mógł

dziedziczyć nazwisko, tytuł, urząd, warsztat pracy i dobra - córka dostawała tylko posag, jeśli znalazł się chętny, aby ją wziąć za żonę. Jeśli nie wyszła za mąż, stawała się ciężarem i przynosiła wstyd rodzinie. Nie należała do nikogo. Życie seksualne poza małżeństwem nie wchodziło w grę, bo groźba niepożądanego ciąży była zbyt wielka, a samodzielne macierzyństwo było hańbą i ekonomiczną katastrofą. Ilość kobiecych profesji była bardzo ograniczona i przeznaczona prawie wyłącznie dla kobiet niewykształconych. Te z tzw. dobrych domów i dzięki temu lepiej wykształcone nie miały czego szukać poza domem. Nie miały wstępu na wyższe uczelnie, nie wypadało im samodzielnie podróżować, bywać u znajomych, a nawet wychodzić na ulicę. Mężczyźni natomiast - jeśli środki im na to pozwalały - byli całkowicie wolni i mogli realizować wszelkie swoje talenty, aspiracje i zachcianki. Czyż można się dziwić, że w tamtych czasach ojcowie woleli synów?

Zapewne z przyzwyczajenia będącego skutkiem ogromnej bezwładności, jaką charakteryzują się stereotypowe poglądy i przekonania zakorzenione w ludzkich umysłach. Żyjące własnym życiem, nieprzenikalne, niepodważalne, niezależne od zmieniającej się rzeczywistości. A rzeczywistość zmieniła się w międzyczasie tak dalece, że tylko patrzeć, aż mężczyźni zaczną dla odmiany ścigać się w tym, który z nich spłodzi więcej córek. Wprawdzie dałoby to zasłużoną satysfakcję kobietom, ale dla mężczyzn korzyść byłaby niewielka. Znowu ogromna ich część zostałaby wykluczona z kręgu prawowitych. Trzeba coś z tym zrobić, panowie. Tym bardziej że nadeszły czasy, kiedy kobiety mogą się klonować albo zapładniać bez naszego w tym udziału, a niebawem będą być może mogły wybierać płeć potomka. Może więc już czas całkowicie oddzielić męskość od płodności?

Zarabiać na siebie

Rozwój człowieka w ogromnej mierze jest podróżą od zależności do autonomii. Najbardziej zależni jesteśmy w brzuchu matki, gdy stanowimy coś w rodzaju wewnętrznego organu związanego z jej organizmem powrozem pępowiny, bez szans na samodzielne istnienie. Ta - idealizowana przez poetów i psychoanalitików - poniżająca sytuacja uwiązania do innej osoby trwa niestety dalej po narodzinach, z tym że teraz rolę pępowiny przejmuje pierś, od której - jak wiadomo - też niełatwo jest się oderwać. Cóż z tego, że po roku zaczynają nam rosnać zęby, skoro nogi odmawiają posłuszeństwa i nie sposób z zębów zrobić jakiegokolwiek użytku, i tak musimy czekać, aż coś nam włożą do buzi. Dopiero po dwóch latach zaczynamy poruszać się na tyle dobrze, że możemy rozpocząć zwiedzanie świata i brać do buzi, co nam się żywnie podoba - jeśli tylko nie ma w pobliżu nadopiekuńczej mamy albo babci. Rozpoczynamy radosny, długo oczekiwany proces separacji od matki, nie wiadomo dlaczego przez łzawych poetów i psychoanalitików nazywany bolesnym i trudnym. W każdym razie na końcu tego procesu, który nie powinien trwać dłużej niż piętnaście-siedemnaście lat, powinniśmy stać się niezależni, autonomiczni, indywidualni, podmiotowi i genitalni (ten ostatni termin wymyślili psychoanalitiky). Niestety, nic z tego. Okazuje się bowiem, że nawet gdy wszystko poszło dobrze i genitalia mamy na swoim miejscu, to i tak nie mamy szans na samodzielność - bo nie ma dla nas pracy. Wracamy do punktu wyjścia. Znowu nie jesteśmy w stanie przeżyć o własnych siłach. Na nic wieloletnie starania rodziców, abyśmy się nauczyli odpowiedzialnie zarządzać naszym kieszonkowym, by wykształcić w nas nawyk oszczędzania i nauczyć szacunku dla pieniądza zdobywanego ciężką pracą. Nie ma

czym zarządzać, nie ma czego oszczędzać, nie ma gdzie i jak zarobić. Ze wszech miar upokarzająca i demoralizująca sytuacja. Wydawać by się mogło, że w równym stopniu upokarzająca i demoralizująca dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Otóż nie. Okazuje się, że jak zwykle kobiety mają gorzej.

Gdy mężczyzna jest bez pracy, to wszystko ma ręce i nogi. Nie pracuje - to nie dostaje pieniędzy. Tak długo, jak bezrobocie nie jest jego winą, państwo daje mu zasiłki i odkłada na zasłużoną emeryturę. Tymczasem wiele kobiet, świadomie lub nieświadomie, swoje dorosłe życie zaczyna od macierzyństwa i rodziny. Chwała im za to, bo inaczej naród by już dawno wyginął i nie miałby kto wstępować do UE. Ale niestety, te pełne poświęcenia, niedbające o swój interes kobiety, zanim jeszcze zdążą zdobyć zawód i pracę, łądują na utrzymaniu męża lub partnera. Nie mogą się wtedy zarejestrować jako bezrobotne, nikt im nie płaci zasiłków i nie odkłada na emeryturę. Wpadają z deszczu pod rynnę. Z zależności od rodziców w zależność od męża. W dodatku od razu mają ręce pełne tzw. pracy domowej, która nie zalicza im się do emerytury i za którą nikt im nie płaci.

Dopóki w związku układa się dobrze i istnieje nie tylko wspólnota majątkowa, ale też jakikolwiek majątek - można się czuć w miarę bezpiecznie i radośnie składać w ofierze swoją pracę na ołtarzu rodziny. Gorzej, gdy coś zaczyna się psuć, jest bieda, a w dodatku partner odchodzi, zostawiając kobietę z dzieckiem, śmiesznymi alimentami (jeśli w ogóle), bez środków do życia, bez ubezpieczenia i składki emerytalnej. Jeśli kobieta jest młoda, to może sobie jakoś poradzi, ale co robić, gdy partner znika po dwudziestu-trzydziestu latach małżeństwa? Wtedy pozostaje opieka społeczna albo łaska dzieci - jeśli są. Tak czy owak jest to kolejna forma upokarzającej zależności. Z drugiej strony strach przed nędzą nierzadko sprawia, że kobiety trwają w związkach, które w innych okolicznościach dawno by porzuciły, i zgadzają się na zbyt daleko idące kompromisy, uprawiając to, co same nazywają prostytutką domową. Wszystko to razem doprowadza do zahamowania naturalnego procesu rozwojowego kobiety od zależności ku autonomii, pojawiania się licznych objawów nerwicowych, które można określić jako syndrom domowego zniewolenia, tj.: niskiego poczucia wartości, braku szacunku dla siebie, autoagresji, migren, zaburzeń miesiączkowania, zaburzeń łaknienia, osłabienia popędu seksualnego, depresji, bezsenności, bolesności ciała itp. pojawienia się autoagresywnych chorób somatycznych (takich jak nowotwory czy choroby reumatyczne), korozji więzi w relacji z partnerem: on przestaje się starać, „bo ona nie ma gdzie odejść”, ona robi zbyt wiele, aby za wszelką cenę utrzymać związek; on traci do niej szacunek, ona zaczyna go skrycie nie znosić itd.

Wbrew marzeniom niektórych prawicowych ideologów i polityków trwałych związków nie da się zbudować na strachu, uzależnieniu i zniewoleniu jednej ze stron. Nie da się obronić rodziny, utrzymując kobiety w strukturalnej zależności ekonomicznej od mężczyzn. Trwale są tylko związki dwóch niezależnych psychicznie i finansowo podmiotów oparte na wzajemnym szacunku i adekwatnym poczuciu wartości każdego z partnerów. W dodatku tylko takie związki potrafią wyprodukować względnie zdrowe psychicznie, autonomiczne dzieci obojga płci. Ale jak to zrobić, skoro tak wielki procent polskich (i zapewne nie tylko polskich) kobiet ma poczucie, że nie zarabia na siebie. Ogromna większość z nich jest, niestety, całkowicie pozbawiona tego decydującego o poczuciu autonomii, godności własnej i o szacunku innych przywileju, żyjąc w przymusie bycia uzależnionym od innych dzieckiem. Ponoć sześć milionów polskich kobiet pracuje tylko w domu, drugie sześć milionów twierdzi, że pracuje jednocześnie zawodowo i w domu (co nie oznacza bynajmniej, że są one w stanie

samodzielnie się utrzymać), ale - uwaga! - 38 proc. tych ostatnich deklaruje, że wolałyby pracować tylko w domu, gdyby warunki na to pozwalały i gdyby nie musiały się obawiać druzgocącego posądzenia o bycie kurą domową. Trwa spór, czy te 38 proc. jest przy zdrowych zmysłach, czy padło ofiarą syndromu domowego zniewolenia albo też stanowi piątą kolumnę patriarchy, który - jak ostrzegają niektóre feministki - próbuje utrwalać swoje panowanie, rozważając możliwość jakiejś formy wynagradzania pracy domowej kobiet i uwolnienie jej z odium hańby. Swoją drogą - ciekawe, co by na to powiedzieli psychoanalitycy?

Jestem macochą

O stereotypie macochy wiele dowiadujemy się z baśni o Królownie Śnieżce. Z psychologicznego punktu widzenia macocha jest metaforą negatywnego aspektu matki - zazdrosnej, rywalizującej, niszczącej. W baśni tej ukrywa przed królowną jej pochodzenie, urodę. Królowna nie wie nawet, że jest królowną. Najpiękniejszy spadek, który otrzymuje córka, to miłość matki. Nie dostaje go, kiedy ma złą macochę, która - jak w baśni - usypia córkę, wprowadza ją w trans nieodczuwania. By królowna doświadczyła miłości, musi pojawić się królewicz, czyli mężczyzna. Często jednak nie ma takiej mocy, żeby odczarować królowną - dziewczynka nie może uwierzyć, że jest kochana. Być macochą jest trudno. Nie jest to zresztą częsta sytuacja, ponieważ dzieci po rozwodach na ogół pozostają ze swoimi biologicznymi matkami. Problem pojawia się, kiedy prawdziwa matka umiera lub dzieje się z nią coś, co nie pozwala jej dobrze wychowywać dzieci: np. choruje, emigruje. Sytuacja macochy jest prostsza, jeśli matka nie żyje i dzieci mają tego świadomość. W przeciwnym razie musi przebijać się przez nadzieję dzieci, że mama kiedyś wróci. Nie należy robić niczego, co umniejszałoby znaczenie prawdziwej matki. W wypadku śmierci, musi być szanowana jej pamięć w innych sytuacjach - nadzieja na jej powrót. Dobrze jest uczestniczyć w pamięci o mamie - razem pójść na cmentarz albo przypominać o napisaniu listu. Macocha musi obudzić w sobie miłość do nie swoich dzieci. W najtrudniejszej, piętrowo skomplikowanej sytuacji staje kobieta, która już ma swoje dzieci. Wtedy oprócz konieczności znalezienia w sercu miejsca dla potomstwa partnera, może pojawić się konflikt między jej i jego dziećmi. Ten konflikt będzie spychał ją w stereotyp macochy, czyli tej, która przede wszystkim broni interesów swoich dzieci. To będzie rodziło napięcia z partnerem. Może też być odwrotnie. Kobiecie może tak zależeć na uczuciu partnera, że będzie nadmiernie faworyzować jego dzieci kosztem swoich. Wchodząc w rolę matki, macocha nie musi mieć poczucia winy. Dzieciom pełna rodzina daje większe poczucie bezpieczeństwa, więcej troski i ciepła. A kiedy przybywa członków rodziny, przybywa też np. prezentów pod choinką. Kobiecie, która decyduje się na taki związek, radzę, by dała swojemu partnerowi i jego dzieciom czas na przeżycie rozstania z matką. Nie spieszyła się z zamieszkaniem pod wspólnym dachem. Najpierw można jeździć razem na wakacje, spędzać weekendy, w domu mieć status gościa. Nie wolno od razu kazać mówić do siebie „mamo”. Naturalne jest, że przez jakiś czas dzieci będą zwracały się do niej „proszę pani”, dopiero potem można zaproponować mówienie po imieniu. Najlepiej, żeby wszyscy zachowywali się zgodnie z tym, co czują. Jeśli macocha czuje, że ojciec jest w konflikcie z dziećmi, nie ma racji, to powinna bronić dzieci. Najważniejsze są stosunki z dziećmi - jeśli się powiodą, to związek z partnerem też będzie dobry. A jeśli dorośli naprawdę się kochają, dobrze się porozumiewają, to z czasem wszystko da się ułożyć. Ale trudności są nieuniknione i trzeba być na to

przygotowanym. Najczęściej potrzeba co najmniej dwóch lat na w miarę harmonijne ułożenie życia.

Kiedy kobieta rodzi kobietę

Relacja matka - córka jest jedyna w swoim rodzaju. Kobieta rodzi kobietę, daje życie istocie tej samej płci. Matka łatwo może ulec złudzeniu, że córka jest jej kontynuacją, kolejnym wcieleniem jej samej. Często nie widzi powodu, by dać jej prawo do autonomicznego istnienia. Córka musi myśleć i czuć jak matka, nawet przechodzić w życiu takie same doświadczenia, aby mieć udział w jej cierpieniu. Taki stosunek do córek mają przede wszystkim kobiety, których matki też uzależniały swoje dzieci. Jest wiele strategii uzależnienia córek przez matki. Jedną z najbardziej powszechnych to kastrowanie córki. Matka wychowuje córkę w taki sposób, że sprawy ciała i seksualności stają się dla niej czymś groźnym, nieobliczalnym, obrzydliwym, grzesznym i bolesnym. Bezkrytycznie przekazuje córce swoje własne najgorsze doświadczenie, swój niespójny stosunek do mężczyzn. Mężczyźni jawią się córce jako obleśne zwierzęta, które od kobiet chcą tylko jednego - a jednocześnie jako panowie świata, bez których kobieta nie może istnieć. Niepewna siebie, przerażona mężczyznami i seksualnością córka zostaje z matką i związek z matką staje się jedynym sensem jej życia. To jest przekaz kobiecego nieszczęścia które jest bardziej rozpowszechnione, niż przypuszczamy. Matka, która ma udane życie małżeńskie, nie będzie wiązać córki. Inna często spotykana strategia uzależniania to wchodzenie córce na kolana. Matka, która w dzieciństwie nie czuła się kochana przez swoją matkę, teraz uzależnia córkę, aby poczuć się wreszcie ważną i kochaną przez jakąś kobietę. W miarę dorastania córki matka zamienia się z nią rolami. Jak najszybciej zdejmuje córkę ze swoich kolan i stara się usadowić na jej kolanach. Córka ugina się pod ciężarem najintymniejszych zwierzeń matki, staje się bezradną powiernicą wszystkich jej dramatów i kłopotów. W końcu córka nabiera przekonania, że to ona jest po to, aby wspierać, rozumieć i troszczyć się o matkę. Trudno jej będzie opuścić tę małą, nieszczęśliwą dziewczynkę. Jeszcze inną strategią jest szantaż. Córka słyszy od matki: „Umrę bez ciebie, nie poradzę sobie, jestem taka słaba, chora i samotna. Ty jesteś całym moim życiem”. Świadomie - choć częściej nieświadomie - matka przez lata robi wszystko, by nikomu nawet nie przyszło do głowy, że będzie w stanie poradzić sobie bez córki. Nie dba o siebie, o swoją pracę ani o swoje związki z ludźmi, zaniedbuje swoje małżeństwo. Wreszcie jest rzeczywiście samotna, bezradna i chora. Córka nie może zostawić matki samej, bo zabiłoby ją poczucie winy. Zostaje z matką. Nie ma wyboru. Z kolei matka nadopiekuńcza to taka, która wpaja córce, że świat jest tak niebezpieczny, iż sobie bez niej w nim nie poradzi. Nadopiekuńcza matka wie lepiej od córki, kiedy ta jest głodna, czy jest jej zimno, czy ciepło. Wie, co się jej dziecku podoba, czy ono czuje się dobrze, czy źle, czy czegoś chce, czy nie. I córka zaczyna wątpić w siebie. W to, co czuje, czego pragnie i w to, co myśli. W starciu ze światem dorastająca córka jest zagubiona i bezradna - a więc mama miała rację. Nie rozumie, dlaczego jej trudno żyć, choć miała tak kochającą, opiekuńczą mamę. Będzie się trzymała matki do końca życia. Istotą symbiotycznego związku jest niemożliwość życia poza nim. Nawet myśl o tym budzi lęk. Wzór stosunków z matką, który był dla dziecka pierwszym i jedynym dostępnym, staje się wzorem relacji z innymi ludźmi. Jeśli się utkwili w tym schemacie, nic nowego nie może się zdarzyć. Trudno z tego wyjść. Jeśli tak jest, trzeba szukać pomocy.

Kobieta nie musi być matką

Kobiety żyły, by rodzić, aż wywalczyły sobie prawo do rezygnacji z macierzyństwa. Mając wybór, muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, czym ono dla nich jest. A jest wiele powodów, dla których kobieta decyduje się na dziecko lub z niego rezygnuje. Kobieta, która nie urodziła, nie jest gorsza od tej, która jest matką. Macierzyństwo, przyrodzone dziedzictwo kobiety, bywa czasami darem niechcianym. Jeśli z jakiś powodów nie chcemy z niego skorzystać, możemy próbować o nim zapomnieć albo się go wyrzec, ale i tak pozostanie dziedzictwem - tyle że zapomnianym lub niewykorzystanym. Z przyrodzonym dziedzictwem nie da się nic nie zrobić, nie sposób go zignorować. Każda kobieta musi się w jakiś sposób do niego odnieść, by ułożyć sobie stosunki ze światem. Przez wieki uważano, że kobiety w sprawie rodzenia dzieci nie mają i nie powinny mieć nic do powiedzenia, że istnieją jedynie po to, by rodzić, i wszelkie inne pomysły na życie to podejrzaną fanaberię. Ale rozpoczęty sto lat temu proces odzyskiwania przez kobiety wolności i godności musiał zakwestionować ten dogmat. Wolność i godność nie dają się przecież pogodzić ani z koniecznością, ani z przymusem. Macierzyństwo rozumiane jako biologiczna czy obyczajowa konieczność, a także jako skutek ideologicznego nacisku, jest dla coraz większej liczby kobiet nie do przyjęcia. Jednocześnie nie do przyjęcia stają się także biologiczne bariery stojące na drodze do jego realizacji tym, które o byciu matką marzą. Dlatego kobiety śmiało i coraz bardziej świadomie dążą, by macierzyństwo odideologizować i odpaństwowić, uczynić je przedmiotem wolnego, indywidualnego wyboru, a tym samym przywrócić mu je-go właściwą rangę - rangę cnoty. Trudno odmówić słuszności tym dążeniom. Panuje w tej sprawie ogromne zamieszanie i nadal stosunkowo niewiele kobiet w sposób świadomy i wolny podejmuje decyzje dotyczące macierzyństwa. W rezultacie dzieci rodzą się lub nie rodzą z najróżniejszych powodów, często nie mających nic wspólnego z wzniosłym macierzyńskim posłannictwem czy uświadomioną potrzebą podtrzymania gatunku. Mamy więc: macierzyństwo instynktowne - czyli dziecko za wszelką cenę. Czasami ta potrzeba jest tak silna, że staje się nieważne z kim, gdzie i za co. Przesz-kody i niedostatki są wynagrodzone faktem posiadania dziecka. Macierzyństwo wywalczone, czyli rodzenie dziecka wbrew biologicznym ograniczeniom dzięki pomocy medycyny. Jego przeciwieństwo to macierzyństwo utracone, niespełnione na skutek biologicznych ograniczeń, błędów w sztuce medycznej, wypadków, niemożności znalezienia partnera. Takie sytuacje prowadzą czasem do macierzyństwa zastępczego - to opieka nad dziećmi osieroconymi lub porzuconymi. Jest też macierzyństwo zaprzeczone - z braku pozytywnych wzorów, z powodu własnego zbyt trudnego dzieciństwa instynkt zostaje wyparty. W jego miejsce może się pojawić niechęć do posiadania dzieci. Macierzyństwo wymuszone - bywa skutkiem gwałtu (także małżeńskiego), niefrasobliwości, nieznamości antykoncepcji, czasem spowodowane jest brakiem możliwości przeprowadzenia legalnej aborcji. Macierzyństwo konformistyczne bierze się z obawy przed wyróżnianiem się z otoczenia, z potrzeby upodobnienia się do większości. Macierzyństwo pragmatyczne - traktowane jako sposób zapewnienia sobie ekonomicznego bezpieczeństwa, zabezpieczenia na starość, uzyskania cieszącego się szacunkiem statusu matki itp., a także zespolenia rodziny i przywiązania mężczyzny. Macierzyństwo ideologiczne - w imię wyższych idei, takich jak: prawo natury, nakaz boski, dobro narodu, interes grupy etnicznej czy religijnej. Macierzyństwo romantyczne - z chęci obdarowania potomstwem ukochanego mężczyzny. Macierzyństwo egzystencjalne - z potrzeby nadania sensu i znaczenia swojemu życiu. Macierzyństwo transcendentalne - z potrzeby osobistego i bezpośredniego uczestniczenia w tajemniczym misterium stworzenia i doświadczenia w

kontakcie z dzieckiem transcendentnego wymiaru miłości. (Urodzenie dzieci bywa okazją do takich doświadczeń, ale nie jest okazją jedyną). Macierzyństwo poświęcone - świadoma i trudna rezygnacja z dzieci w imię wyższych celów religijnych, społecznych, a także w imię realizowania własnego talentu, pasji czy kariery zawodowej. Te różnorakie macierzyńskie motywacje oczywiście się nie wykluczają. Na ogół wiele powodów decyduje o tym, czy macierzyński potencjał kobiety zostanie zrealizowany poprzez posiadanie dzieci czy w jakiejś innej formie. Rodzicielstwo nie zawsze jest radośnie praktykowaną i kultywowaną cnotą. Wiąże się z trudem i odpowiedzialnością, którym nie wszyscy potrafią sprostać. Natomiast macierzyństwo poświęcone, utracone czy nawet zaprzeczone, nie mówiąc o zastępczym, bywa niezwykle pożytecznym i godnym szacunku sposobem realizowania macierzyńskiego dziedzictwa. Czy kobieta-matka to bardziej kobieta niż kobieta-niematka? Często uważa się, że tak. Ale w rzeczywistości kwestia kobiecości i macierzyństwa nie daje się sprowadzić do liczby urodzonych dzieci. Bycie matką to przede wszystkim trudny i odpowiedzialny zawód. Praca wykonywana przez znaczną część kobiet z większą lub mniejszą wprawą, zaangażowaniem i satysfakcją. Jak każda inna praca daje okazję do wzlotów i upadków. Sama przez się nikogo nie nobilituje.

Czy tutaj ktoś umiera?

Kolejne natarczywe pytanie - „Kto umiera?”. Takie pytania powinny być zakazane. Czy ja muszę się koniecznie jeszcze zastanawiać nad tym, kto umiera, gdy ja sam umieram?! A poza tym - o co chodzi? Jak ja umieram, to ja umieram. I proszę mi tego nie podawać w wątpliwość. Są na to gotowe odpowiedzi. Wystarczy sobie poczytać.

„Kto umiera?” - to bulwersujące pytanie zniecka wkręciło mi się w mózg, gdy niczego się nie spodziewając, przystanąłem na chwilę przed witryną księgarni. Księgarnie są niebezpieczne. W przeciwieństwie do telewizji nigdy nie wiadomo, co tam człowieka może spotkać, nawet jeśli chce sobie tylko popatrzeć na tytuły. „Kto umiera?” - jak można przechodniów atakować takim pytaniem? Natychmiast powróciło do mnie wspomnienie traumatycznego doświadczenia z czasów chłopięcych, gdy w podobnych okolicznościach zaatakowało mnie pytanie wypisane czerwonymi literami na okładce książki poczytnego wówczas pisarza. Z okładki waliło po oczach; „Komu bije dzwon?”. Na dodatek na przedtytułowej stronie książki przeczytać można było złowieszczą odpowiedź, której konkluzja brzmiała: „Bije on tobie.” Długo nie mogłem się z tym pogodzić i nie pamiętam, kiedy w końcu się poddałem. Zauważyłem tylko, że niepostrzeżenie zacząłem słuchać bicia dzwonów, tak jakby były one dla mnie. Całą przyjemność z bicia dzwonów popsuł mi ten Hemingway. A teraz znowu kolejne natarczywe pytanie - „Kto umiera?”. Takie pytania powinny być zakazane. Mieszają ludziom w głowach. Czym to się skończy? Czy to nie dość, że jak komuś dzwoni, to mnie dzwoni? Czy ja muszę się koniecznie jeszcze zastanawiać nad tym, kto umiera, gdy ja sam umieram?! A poza tym - o co chodzi? Jak ja umieram, to ja umieram. I proszę mi tego nie podawać w wątpliwość. Są na to gotowe odpowiedzi. Wystarczy sobie poczytać. A jakże niestosowny i niesmaczny jest ten czas terażniejszy użytego w pytaniu czasownika „umierać”. Tłumacz powinien wiedzieć, że ta forma tego czasownika u nas zanika, że o śmierci mówi się tylko w czasie przyszłym i przeszłym. Np.: „kiedyś pewnie umrę” albo „umarł nieszczęśnik”, albo jak w nekrologach, gdzie elegancko unika się tego niezręcznego słowa, informując zainteresowanych, że np. „odszedł od nas po długiej walce z nieustępliwą chorobą itd.”. Śmierć jest czymś, co kiedyś się zdarzy lub już się

zdarzyło, a wtedy trzeba po tym niefortunnym wydarzeniu szybko posprzątać i zapomnieć. A tutaj autor - zapewne Amerykanin - nieświadomy naszej świętej tradycji, prosto z mostu, na wejściu, z okładki pyta nie o to, kto umarł, ani nie o to, kto umrze - tylko o to, „kto umiera”. Oj, nieładnie tak się pytać, panie Levine. Ja sobie wypraszam. Nikt tutaj nie umiera. Ci, co mieli umrzeć, już umarli - spokojnie, za parawanem, wśród zakłopotanej kolejną porażką w walce ze śmiercią służby zdrowia - a ci, co kiedyś umrą, jeszcze żyją. Proszę mi też nie sugerować, że umiera się całe życie. Ja w każdym razie nie umieram! Gdybym umierał, to by mnie już nie chcieli ani w telewizji, ani w gazetach. Umieranie, panie Levine, jest tak nieestetyczne i zawstydzające, że nawet „Big Brother” z pewnością nigdy nie zechce czegoś takiego pokazywać. Wielki Mądry Brat wie, czego nam trzeba, i nigdy nie skrzywdziłby nas widokiem umierających staruszków w jakimś domu Wielkiego Starca czy Spokojnej Śmierci, nie mówiąc już o Wielkim Hospicjum czy czymś w tym rodzaju. Brrr! Aż się włos jeży na samą myśl. On na szczęście rozumie, że my się chcemy dobrze bawić i że najbardziej cieszą nas forsa, cwaniactwo, podglądactwo, seks i zabijanie na ekranie. I możemy to sobie w naszej telewizji pooglądać w każdej chwili - i jest wesoło. Nawet w gazetach prawie nie drukują informacji o tym, że ktoś zachorował albo że właśnie choruje, albo że - nie daj Boże - odchodzi. Gdy już jest po wszystkim, to możemy sobie poczytać podniosłe nekrologi. Tak wzruszające, że czasami aż się chce samemu odejść. Nawet ci najbardziej znani, mądrzy i kochani znikają gdzieś ze swoim chorowaniem i umieraniem i możemy spokojnie o nich zapomnieć. Niewidzialna cenzura rynku oszczędza nam nawet widoku starych twarzy. No, może z wyjątkiem Papieża. Czasami tylko natknąć się można na jakieś stare Indianki czy Murzynów, ale nie ma się czym przejmować, bo to tylko etnologiczne ciekawostki. U nas, panie Levine, nie ma umierania i nie ma starych. Są tylko młodzi i martwi. W nadziei, że w środku kryje się krótka odpowiedź na pytanie z okładki, z determinacją wkroczyłem do księgarni i poprosiłem o egzemplarz. Niestety - nie było żadnego wyjaśniającego motta. Zjrzałem więc do spisu treści. Tytuły rozdziałów były porażające. Zatrzasnąłem książkę, ale i tak kilka z nich wryło mi się w pamięć: „Otwieranie się na śmierć”, „Niebo i piekło”, „Praca z bólem”, „Puszczanie kontroli”, „Praca z umierającym” „Świadome umieranie”. Okropne! Teraz nie mogę się otrząsnąć! Tak więc nie wiem, dlaczego ta książka w ogóle się ukazała. To z pewnością jakieś przeoczenie, które może przynieść zgubne skutki, odciągając ludzi od telewizorów i komputerów - i w ogóle popsuć nam zabawę. Wprawdzie mój przyjaciel Paulo Coelho zapewniał mnie ostatnio, że Śmierć jest najlepszym nauczycielem życia i że jak nie wiem, co mam zrobić, to powinienem pytać Śmierci o radę - ale kto by tam wierzył w takie rzeczy.

Bez mężczyzny żyć się nie da

Dlaczego kobiecie nie wolno nie rodzić, żyć samej, pracować i dobrze zarabiać? To tendencyjnie sformułowane pytanie zadała mi młoda, zapewne początkująca feministka, najwyraźniej nie zorientowana we współczesnej wiedzy z zakresu psychologii i socjologii kobiety - nie mówiąc już o znajomości praw boskich i naturalnych. Popatrzyłem na nią ze współczuciem, posadziłem wygodnie, wziąłem za ręce i głębokim głosem zacząłem tłumaczyć jak dziecku: Po pierwsze, moja droga, nie jest tak, że kobiecie tego wszystkiego nie wolno. Kobieta sama z siebie tego nie chce, bo oznaczałoby to rezygnację ze wszystkiego, co dla niej naturalne i właściwe. Powszechnie wiadomo i wielokrotnie naukowo to potwierdzono, że każda normalna kobieta ponad wszystko pragnie mieć dzieci, dobrze zarabiającego męża, siedzieć w domu, oglądać seriale telewizyjne i czekać na powrót

małżonka z pracy z talerzem gorącej zupy na stole. Przede wszystkim jednak - po to, aby wypełnić swe biologiczne i społeczne posłannictwo i spłacić dług zaciągnięty u Mężczyzny jeszcze w Raju - kobieta pragnie rodzić i dostarczać światu nowych, nieustraszonych bojowników konsumeryzmu, korporacjonizmu, globalizmu i pracoholizmu, gotowych zarobić i wydać każde pieniądze, a nawet poświęcić młode życie za sprawę konomicznej koniunktury i wysokiego poziomu wydatków. Zrobiłem pauzę na oddech i zachwycony swoją żarliwą elokwencją ciągnąłem dalej, odnotowując, że mojej słuchaczce lekko zwilgotniały oczy. Każda normalna kobieta potrzebuje więc mężczyzny, choćby po to, żeby zrealizować to swoje szczytne macierzyńskie posłannictwo i dobrze wie, że w tej sprawie trzeba się spieszyć i nie wolno kapryścić ani przebierać. Bowiem w dzisiejszych czasach o mężczyznę nie jest łatwo. Co piąty ma kłopoty z płodnością. Co czwarty woli przez szesnaście godzin na dobę oddawać się ukochanej pracy niż kobiecie, zaś w pozostałym czasie cementuje przy piwie i transmisjach meczów piłkarskich swoje męskie przyjaźnie po to, aby stawić solidarny opór rozpasanej, kobiecej seksualności i nie dać się wrobić w dzieci. Co piętnasty jest codziennie pijany. Co siódmy opuszczony przez ojca i dożywotnio uzależniony od matki. Co dwudziesty, z różnych powodów, nie może dożyć czterdziestki. Jeśli zaś chodzi o twoją pracę, to pamiętaj, że co dziesiąty mężczyzna jest bezrobotny - a nie ma nic gorszego, jak mężczyzna siedzący w domu lub z nudów włączający się po ulicach. Nigdy nie wiadomo, co takiemu strzeli do głowy. Dlatego rywalizowanie z mężczyznami na rynku pracy z pewnością nie leży w interesie kobiet. Więc jeśli chcesz się zasłużyć Bogu i Ojczyźnie, to jak najszybciej wyjdź za mąż, urodź dużo dzieci, siedź w domu i ciesz się, że się w ogóle załapałaś. Znowu nabrałem oddechu i zauważyłem z satysfakcją, że na twarzy mojej słuchaczki pojawił się wyraz przerażenia, a nawet paniki. Czas przejść - pomyślałem sobie - do pozytywnej części mojej oracji. Nie martw się - powiedziałem czule. Gdyby ci przypadkiem coś zmysły pomieszało i zechciałaś sprzeniewierzyć się sobie i naturalnemu prawu, rezygnując z rodzenia i związania się na zawsze z mężczyzną, gdyby zachciało ci się satysfakcjonującej pracy i dobrych zarobków - to wiedz, że mądrzy mężczyźni tak wszystko wymyślili, żebyś znalazła swoje miejsce w szeregu. Szybko odkryjesz, że bez mężczyzny nie będziesz się mogła bezpiecznie poruszać po ulicach, plażach, polach i lasach tego pięknego świata. Szczególnie po zmroku. Narazi cię to bowiem albo na przymusowe podziwianie obnażonych męskich organów, albo obmacywanie, albo na gwałt i rabunek. Podobne niebezpieczeństwa czyhać będą na ciebie przy okazji korzystania z windy, wybierania pieniędzy z bankomatu, robienia zakupów w hipermarketach, a nawet wtedy, gdy wybierzesz się samotnie do kina, teatru czy restauracji. Nie będziesz zapraszana na prywatki i przyjęcia, stanowiłabyś bowiem niebezpieczną konkurencję dla szczęśliwych posiadaczek partnerów. W pracy będziesz narażona na niestosowne propozycje i podejrzewana o to, że karierę robisz bynajmniej nie dzięki mądrej głowie. Twoje życie seksualne stanie się obiektem najdzikszych domysłów i wyuzdanych fantazji twego otoczenia. Prędzej czy później przylgnie do ciebie etykieta lesbijki, dziwki, dziwaczki czy czegoś jeszcze, co by ci nawet do głowy nie przyszło. W najlepszym wypadku uznana zostaniesz za skrajną egoistkę, używającą środków antykoncepcyjnych i wczesnoporonnych.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jak dobrze wiesz, nasze sprawdzone tradycje wychowawcze i programy szkolne czynią z kobiet istoty całkowicie bezradne wobec najprostszych problemów technicznych. Tak więc, pozbawiona mężczyzny, będziesz nieustannie zdana na korzystanie z usług tak zwanych fachowców. Na widok jakiegoś pana Frania wbijającego gwóźdź w ścianę czy dolewającego oleju do silnika twego samochodu wpadać będziesz w

bezgraniczny, cielecy zachwyty. A fachowcy bezpardonowo wykorzystywać będą twoją ignorancję i naiwność, wystawiając ci zawyżone rachunki, co sprawi, że stracisz znaczną część swoich dochodów. Sama widzisz, że wszystko jest tak urządzone, aby w razie czego kobietę łagodnie sprowadzić na drogę spełniania jej naturalnej roli i związanych z tym obowiązków. Bez mężczyzny żyć się nie da. Gdybyś jednak kiedyś, opętana pychą, zdecydowała się na samotne macierzyństwo albo nie zdołała na skutek braku pokory i tolerancji utrzymać przy sobie mężczyzny, to wiedz, że musisz mieć dobrą pracę i dużo pieniędzy. Ani państwo, ani nikt inny nie pomoże ci w samotnym wychowywaniu dziecka. Poniesiesz zasłużoną karę. Tu skończyłem, i gdy w oczach mojej słuchaczki dojrzałem wyraz głębokiej rezygnacji, uznałem, że dobrze poszło i odetchnąłem z ulgą. Nie patrząc na mnie, zbierała się do odejścia, ale w progu odwróciła się jeszcze i ze łzami, które uznałem za łzy wdzięczności i ulgi - zapytała: A jeśli mimo wszystko będę dalej chciała nie mieć dzieci, żyć sama, mieć dobrą pracę i dużo zarabiać? To - odpowiedziałem z krzepiącym uśmiechem - przyjdź do mnie na psychoterapię.

Mit słodkiego dzieciństwa

Wbrew temu, w co chcemy wierzyć, dzieciństwo i dojrzewanie to dla wielu z nas czas trudny i bolesny. Jesteśmy tak bez reszty zdani na łaskę i niełaskę naszych opiekunów, całkowicie bezradni wobec zaskakujących i niezrozumiałych zwrotów losu, wrażliwi i otwarci na dobre i złe wpływy. Łatwo wtedy wykorzystać naszą bezgraniczną miłość i ufność. W dzieciństwie, szczególnie w tym trudnym, świat dorosłych jawi się nam jako niezrozumiały, nieprzewidywalny, często przerażający, pełen nienawiści i przemocy, chorych ambicji, lęku i hipokryzji. Za mało w nim ciepła, dobrych uczuć, szacunku i uczciwości, niezbędnych dzieciom do pełnego rozwoju. Gdyby dzieciństwo wszystkich, którzy zapamiętali je jako szczęśliwe, naprawdę takie było, świat z pewnością nie wyglądałby tak źle jak wygląda. Wydaje mi się, że mit słodkiego, bajkowego dzieciństwa swoją popularność zawdzięcza jedynie powszechnemu zanikowi pamięci. Ta amnezja może być wybiórcza albo całkowita. Wybiórcza pozostawia ślady chwil szczęśliwych, które często są jedynie chwilami względnego spokoju. Nasza pamięć przypomina wówczas zawartość rodzinnego albumu, w którym przechowujemy wyłącznie obrazy chwil pogodnych, podniosłych lub nijakich (komu przychodzi do głowy fotografowanie rodzinnych tragedii - awantur, bólu czy rozpacz?). Natomiast amnezja całkowita to ogromna czarna dziura, ogarniająca najczęściej pierwsze siedem lat życia. Nierzadko potrafi ona pochłonąć dziesięć, dwanaście, a nawet czternaście wiosen i zim. Z perspektywy dziecka jeden rok to niewyobrażalnie długi czas. A co dopiero dziesięć lat, stanowiących siódmą część statystycznego życia! Jak można zapomnieć taki bezmiar zdarzeń? Oczywiście, tracimy pamięć, bo nie chcemy pamiętać tego, co było bolesne, upokarzające, przerażające. Pragniemy żyć mimo wszystko i jakoś układać sobie stosunki z tymi, którzy w naszym życiu grają jednocześnie rolę dręczycieli i dobroczyńców. W dzieciństwie byliśmy nieodwołalnie na nich skazani. Poruszającą relację z procesu odzyskiwania pamięci, a zarazem przekonujące wyjaśnienie powodów i mechanizmów wypierania ze świadomości zbyt trudnych dziecięcych wspomnień, możemy znaleźć w bezkompromisowej książce Alice Miller „Mury milczenia”. Wiele obserwacji wskazuje, że zjawisko znikania z pamięci ogromnych obszarów wspomnień znacząco częściej dotyczy kobiet. Potwierdza to przypuszczenie, że w patriarchalnym świecie żyje się trudniej nie kobietom, lecz przede wszystkim dziewczynkom. Bardzo radykalny pogląd ma na ten temat amerykańska psychoterapeutka Judith Lewis Herman, autorka książki „Trauma i

wyzdrowienie”. Uważa, że to, co tradycyjnie uznaje się za często występujące u kobiet (ale także u mężczyzn) objawy tzw. nerwicy histerycznej, czyli chaos myślowy i emocjonalny, nadmierna uczuciowość, słabe odczuwanie ciała - to w gruncie rzeczy zespół objawów potraumatycznego szoku. Tego samego, który dotyka wystawionych na ekstremalny stres żołnierzy i nazywanego wówczas syndromem wyczerpania walką. Zaburzenia pamięci są jednym z objawów tego syndromu. Jest to z pewnością prawda, ale nie cała. Źródłem traumy w życiu dziewczynek, inaczej niż u żołnierzy, nie są bowiem wyłącznie mężczyźni. Dręczycielami kobiet i dziewczynek są często inne kobiety - nadopiekuńcze matki, zimne opiekunki, despotyczne nauczycielki. Brzmi to jak banał, zarówno w literaturze pięknej, jak i psychologicznej, dużo na ten temat już napisano. A jednak wygląda na to, że współczesne świadectwa cierpień dziewczynek powodowanych przez kobiety są lekceważone, podlegają spontanicznej społecznej cenzurze. Źle przyjmowane przez krytykę, nie kupowane i nie czytane świadectwa, szybko nikną w zbiorowej niepamięci. To zrozumiałe. Gdy zadamy sobie dużo trudu, żeby o czymś zapomnieć, bardzo nie lubimy, gdy nam się o tym przypomina.

Można zrozumieć, że patriarchy nie chce wiedzieć, w jak destrukcyjny sposób odciska się na często niewyobrażalnie tragicznych losach matek i ich córek. Ale także kobiety nie chcą wiedzieć o tym, jak wiele z nich, nie zdając sobie z tego sprawy, stało się zakładniczkami patriarchy - matkami i opiekunkami, które wiernie służą swemu panu odpowiednio wychowując dziewczynki. Niechęć do przeglądania się w bezlitosnym lustrze pamięci spowodowała falę krytyki ważnej i pomocnej książki Susan Forward „Toksyczni rodzice”. Za tym nieprzyjemnie brzmiącym określeniem kryją się rodzice, którzy utracili pamięć o swoim dzieciństwie i zgodnie z zasadą, że ofiara szuka ofiary, traktują swoje dzieci tak samo źle, jak sami byli traktowani. Zidentyfikowali się w pełni z rolą rodzicielską. Dzięki temu zapewnili sobie możliwość protestowania przeciwko obciążaniu ich winą za cierpienia własnych dzieci. Podobny los spotyka na naszym podwórku dwie książki Hanny Samson, mojej koleżanki po fachu: „Zimno mi mamó” i ostatnio wydaną „Pułapkę na motyle”. Autorka przedstawia w nich psychologiczne biografie kobiet dręczonych przez patriarchalne obyczaje rękami patriarchalnych matek. Te trudne, prawdziwe, inteligentne i ciekawie napisane książki z oczywistych powodów nie są doceniane przez męską część literackiej krytyki. Ale niepokojące jest, że lekceważy je też krytyka kobieca - nawet ta poważnie traktująca myśl feministyczną. Czyżby potrzeba podtrzymania dogmatu Zawsze Dobrej Matki i Kobiecej Solidarności domagała się zastąpienia prawdy nieprawdą? Nie bójmy się swojej pamięci. Przeżyliśmy dzieciństwo, przeżyjemy i pamięć o nim. Odzyskanie pamięci, szczególnie pamięci uczuć, jest podstawą umiejętności współodczuwania i daje nadzieję, że nie uczynimy naszym dzieciom tego, co nam uczyniono. Pamięć i świadomość, bez względu na to, jak niewygodne i bolesne, stanowią przecież początek każdej przemiany.

Pośpiech, czyli co zrobić z tymi siedmioma minutami

Z życiem w ciągłym pośpiechu wiążą się dwa podstawowe niebezpieczeństwa. Pierwszym z nich jest utrata kontaktu z samym sobą, drugim - marnowanie czasu. W czasie jednej z pierwszych wypraw na Mount Everest, zorganizowanych przez ludzi z naszego kręgu kulturowego, kierownictwo wyprawy, chcąc zapewne pobić jakiś rekord, narzuciło bardzo szybkie tempo marszu. Tragarzami dźwigającymi całe wyposażenie byli miejscowi, himalajscy górale, słynący z niezwyklej siły i wytrzymałości. W trakcie kolejnego

wyczerpującego marszu tragarze, ku zdziwieniu pozostałych wspinaczy, nagle zatrzymali się i usiedli w milczeniu. Ponieważ nie wyglądali na zmęczonych, zniecierpliwiony kierownik wyprawy zwrócił się do najstarszego: „Czemu tak siedzicie bez sensu, przecież szkoda czasu!?” W odpowiedzi usłyszał: „Musimy poczekać na nasze dusze, żeby miały szansę nas dogonić”. Innym razem gdzieś w Indiach angielski oficer, chociaż się bardzo spieszył, zabrał z drogi sędziwego starca, który najwyraźniej od wielu godzin spokojnie czekał na autobus. W milczeniu jechali razem godzinę albo dwie, w trakcie których kierowca nie zważając na nikogo i na nic pędził jak szalony. Gdy minęli granicę miasta, spojrzął na zegarek i z satysfakcją zwrócił się do swojego pasażera: „O siedem minut krócej niż mój dotychczasowy czas na tej trasie”. Ale stary człowiek nie wyraził ani podziwu, ani nawet uznania. Westchnął tylko i zapytał: „I co pan teraz robi z tymi siedmioma minutami?”. Z życiem w ciągłym pośpiechu wiążą się dwa podstawowe niebezpieczeństwa. Pierwszym z nich jest utrata kontaktu z sobą samym, drugim - marnowanie czasu. Uciekanie przed własną duszą, przed naszymi najgłębszymi tęsknotami, potrzebami, aspiracjami oraz sumieniem grozi traceniem życia. To tak, jakbyśmy udając się w długą, niebezpieczną podróż po nieznanymi morzami i kontynentach, od razu na wstępie wyrzucili mapę i kompas. Dlaczego chcemy zgubić swoją duszę? Na co dzień, na krótką metę, bez duszy bywa nam wygodnie. Dusza przeszkadza w robieniu głupstw, w niegodziwości, bylejakości, w marnowaniu czasu. Bez niej łatwiej uczestniczyć w tym, co powszechne i popularne, brać byle co za dobrą monetę. Ale na szczęście dusza nie daje łatwo za wygraną i ostatecznie nie pozwala o sobie zapomnieć. Jeśli nawet z całych sił będziemy uganiać się po świecie po to, by ją zgubić, całkowicie oddamy się pogoni za bogactwem, władzą i sławą, za przyjemnością i bezpieczeństwem albo nawet za świętością i życiem wiecznym, i tak nas w końcu dogoni. Bo uciekanie przed własną duszą jest bardzo kosztowne i wyczerpujące. Prędzej czy później doprowadza do ciężkiej choroby ciała i umysłu. Wtedy, chcemy czy nie chcemy - musimy się zatrzymać. A zapomniana dusza tylko na to czeka - zgodnie z zasadą, że jak Pan Bóg nie może się doczekać, żebyśmy zmądrzeli, to jako ostatnią deskę ratunku zsyła nam chorobę. Skoro i tak nie mamy szans na ucieczkę przed własną duszą, warto zawczasu zadbać o to, aby za nami nadążała i mogła wywierać swój zbawienny wpływ na nasze życie. Jak trafnie zauważył pewien starodawny chiński mędrzec - wszystkie nieszczęścia tego świata biorą się stąd, że ludzie nie potrafią usiedzieć w jednym miejscu. Trudno się z tym nie zgodzić. Gdybyśmy tak potrafili zatrzymać się i przynajmniej raz na jakiś czas usłyszeć, zobaczyć i poczuć to miejsce, ten moment, w którym właśnie jesteśmy, świat z pewnością stałby się lepszy. I nie musielibyśmy tak często próbować beznadziejnej ucieczki przed własną duszą po to, aby móc w nim przetrwać.

Często nawyk życia w nieustannym pośpiechu tłumaczymy sobie chęcią zyskania na czasie - teraz się spieszę, ale dzięki temu zyskam więcej czasu na relaks i wypoczynek. Niestety, to złudzenie. Nie potrafimy zrobić pożytku z tych zaoszczędzonych minut, godzin czy dni. Bo pośpiech to narkotyk, który uzależnia. Wynikiem pośpiechu jest nieobecność. Straszna, epidemicznie szerząca się choroba. Nasz umysł bawi się wyobrażeniami o przyszłości (mogą to być filmy akcji, melodramaty, tragedie, komedie lub horrory - wszystko jedno) i nie ma go w tym miejscu i w tym czasie, w którym istnieje nasze ciało. Jesteśmy nieobecni duchem i nie ma z nas żadnego pożytku. Nieobecność to dolegliwość, którą trudno wyleczyć. Leczenie wymaga determinacji, samodyscypliny, a nade wszystko wiary w istnienie rzeczywistego „teraz”, w którym ciało, dusza i świat spotykają się i przenikają nawzajem. Zainteresowanym samoleczeniem na początek polecam trzy proste sposoby przywoływania się do porządku:* jak najczęściej, we wszelkich okolicznościach życia, składaj sobie (a także innym, których

kochasz) następujące oświadczenie: Jestem tutaj, nigdzie się nie spieszę i to, co teraz robię, jest najważniejsze;* jak najczęściej powtarzaj sobie w myślach: ta chwila jest jedyna;* w przywoływaniu się do obecności pomoże ci bardzo głęboki, świadomy oddech przeponą aż do brzucha. Powodzenia.

Kobieca furia

Wiele kobiet, które spotykam zarówno w moim życiu prywatnym, jak i zawodowym, pyta, dlaczego doświadczają nagłych, niekontrolowanych i niezrozumiałych napadów złości. Postanowiłem więc zająć się tym tematem. Ale jak na postmodernistycznego psychoterapeutę przystało, pomyślałem najpierw: to zależy - np. od indywidualnych cech i losów danej kobiety, przecież za tym samym objawem (w tym wypadku gniewem) mogą stać bardzo różne przyczyny, a poza tym, nie ma dwóch takich samych przypadków itd., itd. W mojej wyobraźni pojawiły się stopy zapisanych stron, układających się w obszerną monografię pod tytułem „Kobieta bez gniewu i skazy”, czy coś w tym rodzaju i... ręce mi opadły. Nigdy tego nie napiszę, pomyślałem. Za chwilę jednak poczucie obowiązku i zawodowy nawyk przychodzenia z pomocą za wszelką cenę wzięły górę. Postanowiłem zachować się jak mężczyzna i dać na to pytanie krótką, zwięzłą, pryncypialną i konserwatywną odpowiedź. Oto ona. Po pierwsze - pamiętajmy, że kobieta, zanim stanie się kobietą, długo jest dziewczynką, a dziewczynka powinna być cicha, grzeczna, miła i słodka. I pamiętać, że złość piękności szkodzi. Powinna mówić cichutko i cieniutko, a najlepiej wcale, bo dziewczynki i ryby głosu nie mają. Dziewczynka powinna ustępować, oddawać, ulegać, służyć, wyręczać, opiekować się, na nic się nie skarżyć i cieszyć się, że żyje. Powinna być zwiewna i lekka jak mgiełka, poruszać się na paluszkach bezszelestnie jak motylek. Powinna być czyściutka i bielutka. Niczego brudnego nie dotykać, nie pocić się i nie wydzielać żadnego naturalnego zapachu. Oczywiście, nie powinna się niczego brzydzić, a jeśli się brzydzi, to nie powinna tego pokazywać. Od najwcześniejszych lat winna pasjonować się proszkami do prania, wybielaczami, środkami czyszczącymi i bakteriobójczymi, a nade wszystko dezodorantami. Powinna marzyć o tym, że jak będzie duża, to wystąpi być może w telewizyjnej reklamie jakiegoś superproszku, po którym pranie będzie jeszcze bielsze niż dotąd. Dziewczynka powinna jeść jak ptaszek, pić jak ptaszek i wydalać jak ptaszek. A najlepiej wcale. Umiejętność siedzenia godzinami na przepelnionym do granic możliwości pęcherzu moczowym to podstawowe wyposażenie na dalszą drogę kobiecego życia. Dziewczynka powinna szanować autorytety i wiedzieć, kto tu rządzi. Dlatego nie powinna niczego odmawiać swoim dorosłym opiekunom, krewnym, nauczycielom, korepetytorom, spowiednikom i lekarzom. A także listonoszom, strażakom, policjantom i innym ofiarnym służbom mundurowym, nie mówiąc o urzędnikach administracji państwowej i wszelkich innych szacownych instytucji. Każda dziewczynka powinna wiedzieć, że jeśli jest bita albo wykorzystywana przez silniejszych, to jest to wyłącznie jej wina. Krótko mówiąc, zasłużyła sobie. Dziewczynce nie wypada chcieć i nie wypada nie chcieć. A gdy ją ktoś zapyta, czego chce, powinna odpowiedzieć: sama nie wiem. Dziewczynka powinna się bać, wstydzić i brzydzić swego ciała (szczególnie, gdy zaczyna dorastać). Najlepiej się do niego nie przyznawać. Trzymać ręce na kołdrze i wszelkimi dostępnymi środkami walczyć z owłosieniem nóg. Jednym słowem, dziewczynka może być, a nawet jest, mile widziana pod warunkiem, że jej nie ma. Po drugie - dzięki takiemu ułożeniu dziewczynka, gdy stanie się

kobietą, będzie wiedziała, jak poruszać się w świecie. A w szczególności zrozumie, że gdy ją boli, to tak naprawdę nie boli. Gdy jej się chce, to tak naprawdę jej się nie chce, a gdy nie chce, to właśnie chce. Gdy płacze, to histeryzuje i jest niewdzięczna. Gdy się na coś nie zgadza, to jest wredna i cyniczna. Gdy się cieszy, to się wygłupia albo jest pijana. Gdy chce ładnie wyglądać, to się mizdrzy, a gdy kimś się zainteresuje, to się puszcza. Gdy się wstydy, to jest głupia, a gdy się nie wstydy, to jest bezwstydna. Gdy się przy czymś upiera, to przesadza, a gdy się nie upiera, to nie wie, czego chce. Jak kocha, to jest naiwna, a jak nie kocha, to jest zimna. Gdy ma ochotę na seks, to jest suką, a gdy nie ma ochoty na seks, to też jest suką. Jeśli chce być kimś - to znaczy, że przewróciło się jej w głowie, a jak nie chce być kimś, to jest głupią kurą. Jeśli jest sama, to znaczy, że nikt jej nie chciał, a jeśli jest z kimś, to znaczy, że cwana. Wtedy też będzie wiedzieć, że gdy dostaje furii - to jej się tylko tak zdaje. W każdym razie, może być pewna, że nie ma żadnych prawdziwych powodów do gniewu i powinna udać się po poradę do psychoterapeuty.

Dobrze być małym hedonistą

Gdy odważymy się swemu otoczeniu od czasu do czasu powiedzieć „dosyć” albo „nie dam rady”, okaże się, że świat się nie rozpadnie, że ludzie przyjmą to ze zrozumieniem. A przerażająca perspektywa opuszczenia, zapomnienia i samotności nie nastąpi jeśli uda się nam w jako takim zdrowiu przetrwać trudy płodowego rozwoju, a potem dramat narodzin i bezbronną bezradność pierwszych miesięcy poza brzuchem matki - wtedy dochodzi do głosu potężna potrzeba rozgoszczenia się w świecie na pełnym luzie. Nadchodzi czas bezwstydnego niemowlęcego hedonizmu. Wszystkie nasze zmysły domagają się czegoś przyjemnego, pieszczotliwego i dobrego. Ma być sucho, ciepło, syto, pachnąco, pastelowo, słodko, międko, melodyjnie, delikatnie, kołysząco, radośnie i ciekawie. W dodatku jak najbliżej mamy, a ściśle mówiąc, jej cudownej piersi, natychmiast i niezawodnie dostępnej. Nie życzymy sobie w tym czasie żadnych wymagań ani oczekiwań pod naszym adresem. Po wyczerpujących i niebezpiecznych pierwszych miesiącach teraz chcemy być w rajku i należy się to nam tak jak urlop frontowemu żołnierzowi. Jeśli nasze otoczenie jest w stanie emocjonalnie i organizacyjnie sprostać naszym potrzebom, to zbieramy ważny kapitał na przyszłość. Poznajemy dobrą stronę życia, a dzięki temu nabieramy zaufania do świata i do ludzi. Ponadto, co bardzo ważne, poznajemy nasze ciało, jego zakamarki, potrzeby i możliwości. Urządzamy się w nim wygodnie. W przyszłości łatwiej nam będzie poczuć, kiedy jesteśmy głodni, kiedy spragnieni, a kiedy zmęczeni. Będziemy w stanie wcześniej rozpoznać symptomy zbliżającej się choroby i właściwie zatroszczyć się o siebie. Nasze ciało nie stanie się naszym wrogiem. Obdarzymy je szacunkiem jak dobrego przyjaciela. W kontaktach z innymi bez trudu przyjdzie nam egzekwować tak zwany zdrowy egocentryzm. Trudno nas będzie namówić na poświęcenia ponad miarę, umartwianie się w służbie idei lub na wcielanie się w rolę ofiary. Niestety, rzadko scenariusz naszego życia wygląda tak ładnie. Znacznie częściej otoczenie nie jest w stanie sprostać naszemu dziecięcemu hedonistycznemu rozpasaniu. Nawet wówczas, gdy rodziców stać na to emocjonalnie, okoliczności życia nie pozwalają na pełnię zaspokożenia. Wtedy nie mamy innego wyjścia, tylko bronić się przed bólem frustracji. Odcinamy się od naszego ciała, które tak gwałtownie domaga się swojego, i wypieramy się przed sobą i światem naszej potrzeby komfortu, bezpieczeństwa i przyjemności oraz prawa dostawania czegoś od innych. W głębi duszy pozostajemy wiecznie głodni, ale wobec świata przyjmujemy heroiczne pozy. Istniejemy tylko dla innych. Eksploatując się i wyniszczając ponad wszelką miarę. Nie sposób nas obdarować, bo każdy

prezent czy nawet uprzejmość budzi w nas bezmierne poczucie zadłużenia i potrzebę natychmiastowego rewanzu. Chorowanie staje się jedynym alibi na branie czegoś od ludzi. Ale musi być wtedy obłożne. Szydło wychodzi z worka również przy innych okazjach. Bywamy często rozdrażnieni, rozgoryczeni i zagniewani, choć najchętniej wszystkie te uczucia kierujemy do siebie. W naszych oczach łatwo dostrzec głód i żal, a w kontaktach z innymi chętnie się obrażamy, demonstrując trudne do odgadnięcia oczekiwania i pretensje. Nasze hedonistyczne potrzeby, gdy zaczynamy być ich świadomi, wydają nam się dla innych nie do uniesienia. Cały świat pogrążyłby się w ich powodzi. Więc lepiej o nich nie wspominać. Nawet ciężar naszego - na ogół kruchego i zaniedbanego - ciała wydaje nam się dla innych nie do podźwignięcia. Jeśli chcemy odzyskać ciało i rozum, a także w sposób bardziej dojrzały i świadomy układać sobie stosunki z otoczeniem - musimy zaryzykować. Sprawdzić, ile świat może nam dać, i zrezygnować z tego, co niemożliwe do otrzymania. Choć to wydaje się niewiarygodne, gdy odważymy się jednak swemu otoczeniu od czasu do czasu powiedzieć „nie” albo „dosyć”, albo „nie dam rady”, okaże się, że świat się nie rozpadnie, że ludzie przyjmą to ze zrozumieniem. A przerażająca perspektywa opuszczenia, zapomnienia i samotności nie nastąpi. Może wówczas wystarczy nam odwagi nie tylko na to, żeby powiedzieć „nie”, że czegoś nie chcemy, ale też na to, że czegoś chcemy, a nawet potrzebujemy. Trzeba będzie wówczas przekroczyć w sobie owe dziecięce, rozżalone i obrażone zarazem - „powinniście się sami domyślić”. Wtedy pomału otworzy się przed nami nieznaną krainą cieplej, wspanialej, a czasem wręcz ekscytującej wymiany z ludźmi. Możemy nawet odkryć, że w pewnych okolicznościach brać znaczy dawać. Okaże się wtedy, że wprawdzie nie dostaliśmy tego, co powinniśmy i mogliśmy dostać w dzieciństwie, ale i tak uzyskamy więcej, niż dostaliśmy kiedykolwiek w życiu.

Samotność. Chwila, wyrok, wybór

Umieć być samemu, znaczy stać się kimś emocjonalnie niezależnym, kimś kto wie, co w związkach z dorosłymi ludźmi jest możliwe, a co nie. Jest taka mądra rada, dotycząca samotności: zanim zdecydujesz się być z kimś - naucz się być sam. Umieć być samemu, znaczy stać się kimś emocjonalnie niezależnym, kimś kto wie, co w związkach z dorosłymi ludźmi jest możliwe, a co nie. Tego rzadko uczymy się przed szkodą. Na ogół lekcje pobieramy wtedy, gdy już się z kimś zwiąaliśmy, co przypomina naukę jazdy samochodem na torze wyścigowym, w dodatku bez instruktora. Chwila. Umiejętność twórczego przeżywania samotności jest powszechnie uważana za rzecz cenną, za coś, w czym warto się ćwiczyć. Ale sami rzadko decydujemy się na takie ćwiczenia. Chyba że mamy już wszystkiego dosyć i musimy dzień, dwa odpocząć. Boimy się samotności, bo stawia nas twarzą w twarz ze sobą. Bez ulubionych przebrań i grymasów. W dodatku pozbawia nas cudownej możliwości nieustannego krytykowania, poprawiania lub uwielbiania innych. Zdani na siebie przyglądamy się śladom, jakie życie, które wiemy, pozostawiło w naszej duszy i na naszych własnych obliczach. Na ogół nie jest to widok budujący. Na szczęście, gdy los sprawi, że jesteśmy chwilę sami, mamy stosy gazet do przeczytania. A jeśli tego zabraknie, to możemy bez końca śnić nasze ulubione sny na jawie. W gruncie rzeczy wiemy, że jeśli nie zatrzymamy się, choćby na chwilę, po to, aby uważnie spojrzeć w lustro, to trudno nam będzie określić naszą aktualną pozycję na oceanie życia i wytyczyć sensowny kurs na dalszą drogę. Mimo to unikamy samotności i ciszy jak ognia. Samotność dobrze znoszą ci, którzy znają siebie i doświadczają, choćby niewielkiej, satysfakcji z tego, jak toczy się ich życie. Oczywiście ci, którzy gorzej znoszą samotność, w istocie bardziej jej potrzebują. Samotność

dla nikogo nie powinna być zbyt łatwa. Nie jesteśmy do niej stworzeni. Dlatego gdy wybieramy ją chętnie, to może znaczyć, że uciekamy przed trudem życia wśród ludzi. Wyrok. To samotność na długo. Z reguły pogardzana przez tych, których jest udziałem. W najlepszym wypadku budzi współczucie, częściej podejrzenia i niechęć, nigdy szacunek. Szczególnie gdy dotyczy kobiet. Dlatego jeszcze trudniej na taką niewybraną samotność się zgodzić i odczuć jej dobre strony. Szamoczymy się w niej jak niewinnie skazany w więzieniu. Może nas tylko uratować wiara, że nic w naszym życiu nie zdarza się bez przyczyny, że nasza samotność jest lekcją do odrobienia, doświadczeniem, które z jakichś tajemniczych powodów jest nam potrzebne, aby ruszyć dalej. Więźniowi, nawet temu niewinnie skazanemu, pozwole przetrwać w więzieniu tylko zgoda na to, że więzienie jest teraz jego życiem. Naszych losów nie możemy swobodnie wybierać jak potraw z karty dań. Czasami stoi przed nami danie, które bynajmniej nie budzi naszego entuzjazmu, ale żeby przeżyć, musimy z tego, co dają, wyciągnąć wszystko, co najlepsze i nawet nie myśleć o deserze w nagrodę. Wtedy lekcja zostaje odrobiona. Wybór. Tę łatwiej znieść. Tak jak łatwiej znieść leczniczą głódówkę niż prawdziwy głód. Choć sama decyzja o samotnym życiu może być trudna, szczególnie dla kobiet, bo nasza patriarchalna cywilizacja pozbawiła je atrybutów niezależności - z nazwiskiem włącznie, które jest przeciw nazwiskiem ojca albo męża. Jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu ojciec był właścicielem córki, a mąż właścicielem żony. Do dzisiaj tożsamość kobiety określa się poprzez związek, w jakim pozostaje z mężczyzną. Kobieta może być: albo córką ojca, albo żoną męża, albo rozwiedzioną z mężem, albo wdową po mężu. Nawet bycie samotną matką jest tożsamością nabytą dzięki dziecku i oczywiście jego ojcu. Podobnie dziewictwo wpisane jest w kontekst braku seksualnych doświadczeń z mężczyzną (czy można utracić dziewictwo z kobietą?).

Dlatego świadomie wybrana samotność w wypadku kobiety jest decyzją odważną, wręcz brawurową i zasługującą na najwyższy szacunek. Decyzją mogącą przynieść szczególną satysfakcję. Na dowód przytoczę komentarz pewnej kobiety, która w wieku trzydziestu lat po kilkunastu latach użerania się z mężczyznami podjęła decyzję o celibacie: „Jaka to ulga móc nie należeć do żadnego mężczyzny i nie musieć myśleć więcej ani o tym, jak go zadowolić, ani o tym, jak go wykorzystać, ani o tym, jak go zatrzymać, ani o tym, jak go się pozbyć”.

Śmiech, czyli trzęsienie kobiecego brzucha

Śmiech to ratunek dla przepony i wszystkiego, co się z nią wiąże. Śmiech to najskuteczniejsza profilaktyka i najtańsze leczenie. Śmieście się kobiety za młodu i z wczesnym. Śmieście się nawet wtedy, gdy za późno. Tym bardziej, na przekór, mimo wszystko. Śmiech to ratunek dla przepony i wszystkiego, co się z nią wiąże. Śmiech to najskuteczniejsza profilaktyka i najtańsze leczenie. Zgodnie z odwiecznym patriarchalnym kodeksem zachowań jakie przystoją kobiecie, szczerzy, serdeczny śmiech z brzucha jest czymś wysoce niestosownym. Kobiety powinny wstydić się śmiałości w obnażaniu zębów i dziąseł, uśmiechać się tylko półgębkiem, kryć w dłoniach zarumienioną od tłumionego śmiechu twarz. Jeśli chodzi o towarzyszące radości dźwięki, dozwolony jest, co najwyżej, zduszony chichot. Prawie nigdy w literaturze kobiety nie śmieją się do rozpuku, nie rechoczą (z wyjątkiem czarownic), nie pękają i nie tarzają się, a już na pewno nie trzęsą im się brzuchy. Prócz chichotu obyczaj zezwala kobietom jedynie na wyrażanie bezradnej złości i strachu, najlepiej przy

akompaniamencie pisku, oraz na ciche smuteczki, gdzie dozwolone jest chlipanie. Śmianie się całą gębą jest u kobiet nie tylko niewłaściwe, ale, co gorsza, podejrzane. Może występować jedynie wśród pospółstwa, wśród starych wieśnierek, a także kobiet tak zwanej podejrzanej konduity. Pewien często spotykany typ cierpiętniczej matki skwapliwie wybija córkom z głów ochotę do śmiechu. Zgodnie z poglądem takich matek los kobiety jest niekończącym się pasmem udręki, na który składają się: przedmenstruacyjne napięcia i menstruacyjne poníženie, przerażająca nuda i znój, związane z koniecznością sprostania seksualnym apetytom mężczyzn, katusze ciąży, tortury porodów i foteli ginekologicznych, zaparcia, hemoroidy, upławy i migreny - a na koniec jeszcze klimakterium. I z czego tu się cieszyć? Jeśli jednak na przekór tej ponurej edukacji jakieś naiwne dziewczę nie utraci ochoty na wybuchanie perlismym śmiechem z byle powodu - usłyszysz od matki albo babki: „Przestań się śmiać, bo jakieś nieszczęście sprowadzisz” lub „Śmieć się, śmieć - wkrótce zapłaczesz” czy coś w tym rodzaju. Rzeczywiście, może się chichotów odechcieć na całe życie. Jeśli i to nie pomoże, to dorastająca panienka dowie się, że jeśli chce zwabić kandydata na męża - to musi wciągać brzuch. Zgodnie z tym stereotypem płaski, deskowaty brzuch, u podstawy którego groźnie sterczy kość łonowa, jest tym, co mężczyźni lubią najbardziej.

Kragłe, żywe, lekko poruszające się w rytm oddechu kobiece podbrzusze ponoć ich mierzi i straszy. Kto nie wierzy, niech sprawdzi, że serdeczny śmiech z wciągniętym brzuchem jest absolutnie nie do wykonania. Tak więc wciąganie brzucha powinno ukrócić kobiece zapędy do śmiechu, ostatecznie i raz na zawsze. Ale jeśli i to by nie wystarczyło, to przeciwnicy kobiecego śmiechu mają w zanadrzu jeszcze cięższą amunicję. Otóż, wielce szanowna i całkowicie zdominowana przez mężczyzn medycyna z przełomu XIX i XX wieku ustami wielu swoich prominentnych reprezentantów zawyrokowała, że niski i mocny głos kobiety bez żadnych wątpliwości świadczy o zgubnym zamiłowaniu tejże do grzesznych kontaktów z własną lechtaczką. Podejrzewam, że lekarze ci, zapewne oddani słudzy patriarchy, chcieli dać w ten sposób odpór mówiącym w owych czasach coraz pełniejszym głosem sufrażystkom. W każdym razie, teoria ta stała się tak popularna, że już nigdy żadna przyzwoita kobieta nie odważyła się odezwać w towarzystwie niskim głosem (z wyjątkiem niektórych szansonistek, które wzbudziły tym niezdrową fascynację mężczyzn). I jak tu się śmiać do rozpuku, gdy niski ton może się przypadkowo wyrwać? Co sobie wtedy ludzie pomyślą? Wiele kobiet już przedtem miało kłopoty z emisją naturalnego głosu, ale teraz ostatecznie skazane zostały na używanie przez całe swoje dorosłe życie głosu zawstydzonej lub rozkapryszonej dzidzi. A ponieważ każdy kij ma dwa końce, skazały się jednocześnie na dożywotnie towarzystwo niedojrzałych facetów o pedofilskich skłonnościach (prawdopodobnie tacy właśnie wymyślili teorię lechtaczkowego pochodzenia niskiego głosu u kobiet).

Zwróćmy uwagę, że wszystkie nieszczęścia, cierpienia, upokorzenia, wstyd i winy, jakie, zgodnie z fikcją cierpiętniczą wypełniają po brzegi życie kobiety - patrząc na rzecz anatomicznie - koncentrują się w wielkim stężeniu w tej części kobiecego ciała, która znajduje się poniżej pasa. Konkretnie - poniżej przepony. Któż przy zdrowych zmysłach zgodziłby się na noszenie ze sobą takiego wora nieszczęść, jakim wydaje się zawartość kobiecej miednicy. Ale niestety, to stamtąd wyrastają nogi i nie ma innego wyjścia. Trzeba to nie tylko ze sobą nosić, ale nawet tolerować. Wszystko, co można zrobić, to się do tego nie przyznawać ani przed sobą, ani przed innymi. Aby to osiągnąć, wystarczy zablokować i

usztynić mięsień przepony i dopełnić dzieła okrażenia i odcięcia wroga zaciskając ponad wszelką rozsądną potrzebę zwieracze krocza.

Ale uwaga. Gdy raz na zawsze zamkniemy drzwi dla wrogów, to okaże się, że i przyjaciele nie mogą wejść. Bez silnej, żywej i aktywnej przepony nie sposób żyć w pełni. Bo to ani głębiej odetchnąć, ani beknąć, gdy trzeba, ani kaszlnąć, ani kichnąć jak z mózdzierza (ach te wzruszające kobiece „A-psik”). Trudno się też pozbyć tego, czego nie trzeba zatrzymywać. Jest kłopot z rodzeniem („Przyj! Przyj!” A tu nie ma czym). A także z radością i z kondycją w seksie. O wyrażaniu siebie niskim głosem bez przepony oczywiście nie ma mowy. Nie da się nawet szlochać i wyć z rozpacz, ani też przeżywać słusznego, władczego gniewu. W dodatku, uwięzione w miednicy wewnętrzne organy, o których nie chcemy nic wiedzieć - tak jak by były niekochanymi dziećmi - zaczną w końcu niedomagać i chorować. I wtedy spełnia się klątwa cierpienia i cierpiętnictwa, zamykając kolejne pokolenie kobiet w zaklętym kręgu samosprawdzającej się przepowiedni. I już naprawdę nie ma się z czego śmiać. Więc śmiecie się kobiety za młodu i zawczasu. Śmiecie się nawet wtedy, gdy już za późno. Tym bardziej, na przekór, mimo wszystko. Głośno, szczerze i niskim głosem. Śmiech to ratunek dla przepony i wszystkiego, co się z nią wiąże. To najskuteczniejsza profilaktyka i najtańsze leczenie. Nie dajcie się zwariować. Radość przyciąga radość. Więc tańczcie, śpiewajcie, rechoczcie i ryczcie do rozpuku. Tarzajcie się, pękajcie i sikajcie. Niech wam przepona furkocze jak bojowy sztandar na wietrze i niech wam się brzuchy trzęsą jak szalone. Świat będzie od tego lepszy.

O medycynie

Jak można wytłumaczyć zjawisko, że coraz więcej chorych szuka pomocy i ratunku w niekonwencjonalnych metodach powrotu do zdrowia, że coraz głośniejsze mówi się o powrocie do tradycyjnej medycyny?

Zawsze mam wiarę w ludzi. Bardzo mnie denerwuje, gdy ktoś mówi, że ludzie są głupi, ciemni, nie wiedzą, co robią. A tymczasem ludzie kierują się swoim doświadczeniem, swoją intuicją, swoim rozsądkiem. Zarówno w indywidualnych wyborach, jak i w tych, które przekładają się na zbiorową skalę.

Co stoi za potrzebą sięgania do mniej konwencjonalnych metod leczenia?

Może stać za nią rzeczywiste doświadczenie i związane z tym rozczarowanie. Może też stać realna potrzeba działania w sferze, której się nie da racjonalnie uzasadniać. Gdybyśmy chcieli przywoływać ludzi do czysto racjonalnych wyborów i zmuszać ich do funkcjonowania w oparciu o tak rozumiane kategorie racjonalności to wszelka religijność byłaby niemożliwa! Oczywiście sceptycy mają prawo twierdzić, że religijność jest zachowaniem nieracjonalnym, ale to nie znaczy, że jest zachowaniem niemądrym.

Czy prawdziwa mądrość musi być racjonalna?

Prawdziwa mądrość przekracza racjonalność. Mądrość jest czymś znacznie więcej.

Czy człowiek ma niezbywalne prawo do decydowania o swoim losie i swoim zdrowiu i powinien ufać tu swojemu doświadczeniu?

Absolutnie tak. To on decyduje, czy pójdzie do lekarza polskiego, tybetańskiego czy bioenergoterapeuty. Wokół tej sprawy w mediach powstało dużo zamieszania. Co gorsze, wolny wybór człowieka stał się przedmiotem ogromnych manipulacji?

Jakich?

Na przykład taką manipulacją jest dla mnie promowanie farmakoterapii jako jedyne, racjonalnego sposobu leczenia. To jest oczywista manipulacja.

Dlaczego?

Ponieważ w wielu wypadkach farmakoterapia staje się zupełnie nieracjonalna. Znacznie bardziej racjonalną metodą postępowania, jeśli idzie o swoje zdrowie, jest na przykład odwołanie się do pewnych zabiegów dietetycznych, czy zabiegów z kategorii zielarstwa, czy związanych z innymi, alternatywnymi sposobami pomagania ludziom.

Skąd tak wielki opór świata racjonalnej medycyny i skąd bierze się traktowanie tych, co korzystają z wyżej wymienionych usług, jako tych gorszych, naiwnych, głupich, którzy zamiast się leczyć, sobie szkodzą?

Jeśli ktoś poświęca całe swoje życie na wyuczenie się jakiegoś zawodu i potem nosi w sobie wiarę w sensowność i skuteczność tego, co robi, to potem trudno jest przyjąć, że inna metoda i inny sposób podejścia jest bardziej skuteczny. A to weryfikują ludzie. Drugi powód jest czysto finansowy: po prostu traci się klientów!

Czy zaczęła się gra o chorych?

Można użyć takiej metafory, żeby wyraźnie powiedzieć, że gra o pacjentów nie może przypominać gier wyborczych. W tej pierwszej oczernianie przeciwnika nie jest dobrą metodą. Trzeba się raczej zainteresować sobą, uderzyć we własne piersi, i zobaczyć, co ja mogę zrobić, by podnieść swoją wiarygodność i umocnić swoją pozycję w rankingu skuteczności. Taki ranking cały czas prowadzą klienci?

Dlaczego używa pan sformułowania: klienci?

Chorzy nie lubią, żeby wciąż traktować ich jak chorych. Przyszedł taki czas, że wolą umówić się na walkę o swoje zdrowie, zawrzeć rodzaj kontraktu, w którym największe zapotrzebowania jest na zapobieganie chorobie. W Chinach płacono lekarzom za to, żeby człowiek był zdrowy. Kiedy zaczął chorować, odsyłano lekarza do domu. Tracił wiarygodność.

Coraz popularniejsze staje się przekonanie, wywodzące się z tradycji medycyny Wschodu że o zdrowiu człowieka decyduje stan jego ciała, ducha i energii, która wciąż w nim płynie i jest paliwem dla zdrowia?

Założenia tradycyjnej medycyny chińskiej, opartej o zasadę pięciu żywiołów i pięciu przemian są dla mnie zrozumiałe. Jest to bliskie mojemu myśleniu terapeutycznemu, w którym o człowieku myśli się w kategoriach energii, przepływów, procesów, w kategoriach całościowego myślenia.

Myślenie w kategoriach leczenia poszczególnych organów i układów przechodzi do historii?

Absolutnie. Inaczej doprowadziłoby to do strasznych pomyłek i zamieszania. Jestem w trakcie tworzenia inicjatywy polegającej na stworzeniu instytucji, w której psychoterapeuci i

lekarze, którzy uzyskali wykształcenie medyczne, ale jednocześnie z potrzeby wewnętrznej uczciwości nauczyli się całościowego sposobu myślenia i leczenia człowieka będą tworzyć spójny system pomocy ludziom.

Czy dojdziemy do tego, że specjaliści z zakresu medycyny klasycznej, tradycyjnej i psychoterapii będą wspólnie zastanawiać się nad tym, żeby ubiec chorobę?

O to właśnie chodzi. Dotychczas medycyna profilaktyczna była tak strasznie niedoceniana, z drugiej strony to właśnie profilaktyka jest domeną niekonwencjonalnych tradycji medycznych w których główny nacisk kładzie się na niedopuszczenie do choroby. Czyli dbanie o interes klientów, którzy potrzebują zdrowia fizycznego i psychicznego do realizacji swoich celów. Czyli doradzanie mu, jak ma postępować, żeby zdrowo pracować i żyć w harmonii.

Czy taki czas nadchodzi?

Może niektórym będzie wydawać się, że to jakaś cudowna wizja, ale warto do tego dążyć. Nikt nie kwestionuje ogromnych zasług medycyny konwencjonalnej, która jest nieodzowna w procedurach ratowania życia i ma niezbywalne możliwości w diagnostyce i leczeniu wielu chorób. Ale współczesny człowiek potrzebuje i oczekuje czegoś więcej?

Czego?

Oczekuje postawienia na to, że został stworzony jako wspaniąca istota. Że może zdrowo i spokojnie żyć w tym świecie. I niekoniecznie musi być przez połowę swego życia podłączony do apteki.

Przyszłość świata decyduje się w pokojach dzieciennych

Awansował pan do roli guru kobiet. Czy na pana miejscu nie powinna się znaleźć jakaś gurka? Sam pan podkreśla, że kobiety muszą zacząć mówić własnym głosem.

- Na zaszczytny tytuł guru z pewnością nie zasługuję. Mimo że nigdy nie przypisywałem sobie roli rzecznika kobiet i od początku wiedziałem, że jestem rozwiązaniem tymczasowym - to, co pisałem, tak było odbierane. W istocie, pisząc o tych sprawach, rozliczam się tylko z własnym, męskim sumieniem. Ale zarzucono mi już to wiele lat temu na spotkaniu z feministkami, słuchaczkami Gender Studies na Uniwersytecie Warszawskim. Zaproszono mnie tam na dyskusję o książce „Kobieta bez winy i wstydu”. Byłem jedynym mężczyzną na sali. Cały czas czułem się niesłusznie atakowany. Przyczepiano się do szczegółów i sformułowań wyrwanych z kontekstu. W końcu zapytałem wprost, o co chodzi. Wtedy jedna z obecnych powiedziała: „Książka jest bardzo dobra, ale jej ogromną wadą jest to, że napisał ją mężczyzna”. Zarzut zabrzmiał paradoksalnie, lecz jest w nim istotna treść. Wyręczając kobiety w mówieniu o ich problemach i sytuacji, w robieniu feministycznej rewolucji, kontynuuję tradycję patriarchy. W związku z tym już jakiś czas temu postanowiłem przestać pisać o kobietach i za kobiety.

Czytając pana książkę „Mężczyzna też człowiek”, odnosi się wrażenie totalnej poprawności politycznej. Pisz pan w sposób bardzo pokorny w imieniu mężczyzn, jakby pan za nich przeproszał.

- Jest za co przeproszać, więc może w poprawności politycznej kryje się też jakaś mądrość. Choć nie przyszłoby mi do głowy, że jest to książka poprawna politycznie. Wynika ona z doświadczeń wyniesionych z pracy z ludźmi i z moich własnych, a jej intencją jest tym razem

wzięcie w obronę mężczyzn.

A skąd się wziął tytuł książki?

- Mówi się, często z odcieniem ironii i pobłażania, że kobieta też człowiek. Chcę zwrócić uwagę na to, że mężczyźni też są w bardzo trudnej sytuacji. Na ogół opisujemy i przeżywamy siebie samych jako twórców i panów tego świata. Chcę pokazać głębszy, ludzki wymiar mężczyzny, a nie znowu tę zużytą fasadę.

Książka rozliczająca wszystkie męskie grzechy powinna mieć raczej tytuł „Mężczyzna też człowiek, a nie świnia”.

- Może kiedyś jakaś kobieta napisze książkę pod takim tytułem.

W książce mówi pan o tym, że kobiety są zmuszane do pełnienia określonych ról, a za odstępstwo surowo karane. Przecież to samo dotyczy mężczyzn. Nie każdy jest zadowolony z przypisywanej mu roli przewodnika stada.

- To prawda. Mężczyźni są jednak w o tyle lepszej sytuacji, że to oni rozdają role i tasują karty. Z czasem jednak staliśmy się, podobnie jak kobiety, więźniami własnych wyobrażeń o sobie. Okazuje się, że świat, który sobie urządziliśmy, wcale nie jest bardziej przyjazny dla nas niż dla kobiet. W dodatku staje się coraz trudniejszy.

A co jest najtrudniejsze?

- Odpowiedzialność. Wszystkie obszary życia są zdominowane przez męski sposób myślenia i działania. A tu okazuje się, że ten świat się sypie.

Jakie wybrałby pan słowo, aby określić relacje pomiędzy kobietami a mężczyznami: wojna, partnerstwo, przyjaźń czy może niezależność?

- Zdecydowanie jesteśmy w fazie konfliktu. Wprawdzie do części mężczyzn dociera fakt, że nie sposób dłużej funkcjonować tak jak do tej pory, ale dobrowolnie abdykować jest trudniej, niż w odczuciu dziejowej sprawiedliwości sięgać po władzę. Kobiety - słusznie rozżalone tym, co działo się do tej pory - atakują. Z tego samego powodu chciałyby pani zmienić tytuł tej książki na mocniejszy.

Komu jest trudniej?

- Obie strony konfliktu nie za bardzo wiedzą, co robić. Ale kobiety mają przynajmniej ideologię i poczucie słuszności. Robią rewolucję. Natomiast mężczyznom przypada rola zdemoralizowanego, zmurszałego dyktatora, który musi ustąpić, bo nie ma w nim już ducha.

Ale feminizm wcale tak bardzo kobiet nie łączy!

- Stopniowo coraz bardziej. Wiele kobiet dystansuje się od feminizmu skrajnego, który bywa wrogi wobec samych kobiet, usiłuje dla odmiany uwięzić je w feministycznym stereotypie i odbiera im prawo wyboru drogi życiowej. Ale te kobiety, które czują się zagrożone feminizmem jako takim, również tym głębokim i wyważonym, nieświadomie bronią patriarchalnej wizji świata, do której przywykły.

Czasami uwalniają się za bardzo. Przemiany obyczajowe dały zielone światło kobietom kariery. Ale przez to część z nas wpędziła się w ślepy zaułek, bo wybór „chcę zostać z dziećmi w domu” uważany jest za mało ambitny, nieporównywalny z karierą zawodową.

- To zamienianie jednego stereotypu na drugi. Oby teraz kobiety nie musiały pracować poza domem nawet wtedy, gdy nie chcą. Praca w domu nie powinna spotykać się z pogardą. Kobiety mają prawo do wyboru, powinny móc korzystać z obu opcji, a żadna z nich nie powinna być obciążona negatywnym wartościowaniem. Walczę o to, jak mogę, zarówno z feministkami, jak i z mężczyznami.

Z mężczyznami?

- Najbardziej negatywnie na takie pomysły reagują mężczyźni uzależnieni od stereotypu męskiej roli. Niedawno uczestniczyłem w kampanii na rzecz uznania pracy w domu za taką samą pracę jak zawodowa. To zapewniłoby godność i status kobietom, które decydują się jakiś czas swojego życia spędzić w domu, opiekując się dziećmi. Próbuje się coś z tym robić w wielu krajach na Zachodzie. Wydaje się, że świadomość tego, że przyszłość świata decyduje się w pokojach dzieciennych, jest coraz powszechniejsza. Kobiety odgrywają w tym niezwykle ważną rolę.

Można czuć się kobietą, nie będąc matką - napisał pan. Można czuć się mężczyzną, nie będąc...

- Ojcem?

No właśnie, co jest symbolem męskości?

- Mówi się, że prawdziwy mężczyzna powinien zasadzić drzewo, spłodzić syna i wybudować dom. To też stereotyp. Nie musimy robić żadnej z tych rzeczy po to, by poczuć się mężczyzną. Podobnie kobieta wcale nie musi być matką, żeby poczuć się kobietą. Mało tego - możemy czuć się kobietą lub mężczyzną nawet wtedy, gdy z jakichś powodów nie podejmujemy roli seksualnej. Wszystko zależy od naszego stosunku do nas samych, od tego, czy jesteśmy wewnętrznie pojednani.

Czy ta walka płci i ról nie wynika stąd, że tak naprawdę nie mamy pojęcia, czym jest kobiecość i męskość? Może gdybyśmy się delektowali różnicami, przestalibyśmy walczyć o to, co jest lepsze, a co gorsze?

- Od tego należałoby zacząć. Walka to nonsens. Trzeba wypracowywać tradycję i obyczaj w równym stopniu ceniące kobiecość i męskość. Musi to być wzajemnie symetryczne, oparte na szacunku. Tymczasem historia relacji mężczyzn i kobiet jest nieustającą walką, ciągłym wzajemnym poniżaniem się. W oficjalnej, patriarchalnej kulturze i historii kobiety są upokarzane lub pomijane publicznie. O tym, co czuły i myślały kobiety, dowiemy się tylko z niektórych kobiecych pamiętników, w których mogły one pozwolić sobie na szczerość. Po obu stronach nagromadziły się ogromne ilości żalu, gniewu, braku szacunku i uznania. Oddychamy tradycją stereotypów, pełną wzajemnych, niesprawiedliwych oskarżeń.

Jak współcześnie można nauczyć ludzi doceniania tych różnic?

- Obawiam się, że to długotrwały, żmudny proces. Cała nasza kultura musi się stopniowo przekształcić. Kobiety muszą zacząć mówić swoim głosem, stać się równorzędnym partnerem mężczyzn w tworzeniu kultury. Muszą wejść do polityki i religii - wszędzie tam, gdzie nie były dopuszczane. Dopiero wtedy zacznie się coś zmieniać. Widać to już wyraźnie w Norwegii czy Szwecji.

Chłopcy do gotowania, dziewczynki do majsterkowania?

- To tylko jedno z narzędzi tej kulturowej transformacji. Potrzeba znacznie więcej.

Z jednej strony, chwali pan model skandynawski, z drugiej strony, podkreśla rolę archetypów, wzorców kobiecości i męskości. Czy to się nie wyklucza?

- Znam feministkę, która twierdzi, że archetypy to tylko zakamuflowane patriarchalne stereotypy, a między mężczyzną i kobietą tak naprawdę nie ma żadnej różnicy. To nieprawda. Na poziomie formy różnimy się, różnimy się pięknie i mamy święte prawo się różnić. Na tej różnicy polega trwanie i urok tego świata. Nie różnimy się natomiast w wymiarze duchowym, który - jak wiadomo - jednoczy wszystkich i wszystko. Jesteśmy jak dwie gałęzie wyrastające z jednego pnia.

A propos rozgałęziania na kobiety i mężczyzn. Zanikły we współczesnym świecie wszelkie ceremonie związane z wkraczaniem w rolę kobiety i mężczyzny. Było to może wtłaczanie w foremki, ale jakże ułatwiało funkcjonowanie w rzeczywistości. Teraz nie jesteśmy w nic wtajemniczani, do niczego przygotowujemy, ludzie po pięćdziesiątce funkcjonują jak nastolatki.

- I nie wiadomo, co z tym zrobić.

Coś się robi, organizuje się wyjazdy dla mężczyzn, kursy dla kobiet, takie nowoczesne formy „inicjacji”, celebracji płci.

- To jednak niewiele da. Każdy jest skazany na szukanie własnej drogi do inicjacji. To wprawdzie trudne, ale dobre. W społecznościach plemiennych sprawa była prosta: zorganizowany rytuał powodował często bardzo radykalne doświadczenie przejścia w kolejny etap życia. Ale było to bardzo zunifikowane, takie samo dla wszystkich. Życie współczesnego człowieka kultury Zachodu jest zbyt złożone i zróżnicowane - nie da się wymyślić uniwersalnego rytuału. Choć bardzo go brakuje.

Kiedy dziś chłopiec staje się mężczyzną?

- Nasza kultura nie wyznacza już momentu, w którym dziewczyna staje się kobietą, a chłopiec mężczyzną. Inicjacja stała się czymś bardzo indywidualnym. Pierwotne inicjacje miały pewien aspekt, którego nie powinno się pominąć: wprowadzenie w dojrzałość miało zawsze wymiar duchowy. A duchowe dojrzewanie trwa długo i jest trudne. Dlatego nikt nie może nas po prostu mianować mężczyzną czy kobietą tylko dlatego, że skończyliśmy ileś tam lat. Najpierw musimy poradzić sobie z zależnością od rodziców, potem z miłością i ze śmiercią. To zajmuje długie lata. Często dojrzewamy dopiero w późnym wieku albo nawet wcale. Nie żyjemy już w małych, jednorodnych plemionach, w różny sposób jesteśmy wychowywani, z różnych miejsc pochodzimy. Trzeba się z tym pogodzić i indywidualnie szukać swojej inicjacji.

A obrzędy religijne? Dotyczą trochę innych aspektów życia, ale przygotowują człowieka do wejścia w nowy etap.

- W nich tkwi pewna nadzieja. Pod warunkiem jednak, że nasza edukacja duchowa jest dobrze prowadzona i że sam rytuał jest zindywidualizowany. To jednak jest rzadkie i wymaga bliskiego kontaktu z kompetentnym nauczycielem duchowym.

Po co dziś mężczyźni kobietom, a kobiety mężczyznom? Po co zadajemy się ze sobą?

- Po to, żeby się uczyć kochać i szanować. Nawet jeśli o tym nie wiemy, właśnie po to się łączymy. Żeby się kochać i tworzyć nowe życie. Niekoniecznie w formie płodzenia dzieci, co

jest najprostsze. Przede wszystkim by tworzyć tę prawdziwą i właściwą relację między dwojgiem ludzi, troszczyć się o innych i o świat i zachwycać się tym wszystkim.

Smutek

Podczas pracy z ludźmi najczęściej spotykam smutek odrzucenia, braku miłości w relacji z najważniejszymi osobami, dzięki którym przyszliśmy na świat. Ten smutek uderza w podstawy egzystencji, sens istnienia. Budzi wątpliwość dotyczącą własnej wartości - bycia osobą, podmiotem, kimś, kto zasługuje na szacunek i uczucia i dla kogo jest miejsce na tym świecie. Z odrzuceniem, brakiem kontaktu wiąże się poczucie osamotnienia. Samotność jest częstym źródłem smutku, również samotność przeżywana w życiu dorosłym. Ma się poczucie osamotnienia, izolacji, braku kontaktu ze światem, z innymi ludźmi. Ktoś może zupełnie dobrze funkcjonować społecznie, wydawałoby się, że niczego nie powinno mu brakować. Ale tak naprawdę nie ma kontaktu z nikim, nie może się otworzyć i to zaczyna mu przeszkadzać. Przeczuwa, że istnienie jakaś inna możliwość. Czasem odrzucenie jest bierne - najważniejsze osoby nie zwracają na dziecko uwagi, ignorują wszelkie próby nawiązania przez nie kontaktu. Płaczesz, krzyczysz, wołasz, że chcesz jeść albo coś innego, a dorośli rozmawiają ze sobą lub kłócą ze sobą. Kruche poczucie tożsamości ich dzieci wystawione jest na próbę. W takiej sytuacji można w którymś momencie zwątpić w to, czy się jest. Potem pojawia się depresja - nie ma mnie, nikt mnie nie kocha, nie nadają się do niczego. Inny rodzaj smutku wiąże się ze zdominowaniem, zniewoleniem i upokorzeniem. Człowiek doświadcza przewrotnej formy odrzucenia - nie uzyskuje zgody na bycie takim, jakim jest żyje według rodzicielskiego projektu i to ów projekt, a nie on jest obdarzany miłością. Głęboko w sercu ma poczucie, że nie on jest kochany, a tylko przebranie, coś co jest mu obce. Smutek ludzi, którzy żyją całkowicie ukształtowani według rodzicielskiego projektu, to smutek nieustającej implozji. Tłumienie każdego własnego, niezależnego przejawu siebie i buntu. Wszystkiego, co nie mieści się w projekcie. Jest jeszcze smutek nie przeżytego dzieciństwa. Słabi rodzice, którzy zamiast wspierać, wiszą na dzieciach. Nie ma szansy na przeżycie dzieciństwa, trzeba być silniejszym od swoich rodziców. Jest także smutek związany z odczuwaniem przemijania i lękiem przed śmiercią. Smutek obecny w każdym człowieku, często spychany na peryferie świadomości. I smutek rozstania, kiedy ktoś odchodzi od nas albo umiera a to, co wydawało się wieczne, ważne i decydujące o naszym życiu, nagle znika. To smutek rozstania nieprzeżytego albo smutek niezgody na przemijanie. Inny smutek to smutek zniewolenia czy owładnięcia. Smutek osoby, która ma poczucie, że całkowicie oddała się czemuś lub komuś. Osobie, ideologii, organizacji - czemukolwiek. Przeżywa poczucie zniewolenia, klaustrofobii, nieujawnionego buntu przeciwko temu, co się z nią dzieje. Przywiązanie tego typu jest z reguły próbą poradzenia sobie z którymś z trzech podstawowych smutków: braku miłości, braku poczucia „ja” lub lęku przed śmiercią i przemijaniem. I jeszcze jeden smutek: smutek wyrzutów sumienia. Kiedy ktoś żyje w niezgodzie z własnym sumieniem czy systemem wartości i widzi to, a gorzej jeszcze gdy nie widzi. Cały tłumiony bunt i wyrzuty sumienia mogą ujawnić się wtedy w formie urojeń i lęków lub depresji.

Skazani na idoli

Wojciech Eichelberger w rozmowie z Renatą Arendt-Dziurdzikowską

- Daj mi pierwszą dawkę - prosił Elvis Presley po koncercie. Jego asystent otwierał pierwszą kopertę i podawał mu „zwyczajny zestaw”: barbituraty, valium i placidyl, po czym

wstrzykiwał mu tuż pod łopatki trzy ampułki demerolu. Następnie „Król” pochłaniał trzy cheeburgery i siedem deserów bananowych i zasypiał w jednej chwili. Jego asystenci często musieli wyjmować mu z ust resztki pokarmu, aby się nie udławił. Spał mniej więcej cztery godziny. Budził się tak odurzony, że nie miał siły chodzić i trzeba go było zanosić do łazienki (wazył prawie 160 kilogramów). Wtedy prosił o drugą dawkę i znów zasypiał. Rzadko miał siłę poprosić o trzecią porcję. Pomocnik robił więc zastrzyk bez polecenia i pozwalał mu spać do późnego popołudnia, kiedy to zmęczony „Król” zmuszał swoje ciało do posłuszeństwa za pomocą dexadryny i wtykanych do nosa wacików nasączonych kokainą. Wtedy dopiero mógł wyjść na scenę.

Tak wyglądało życie 42-letniego Elvisa na kilka miesięcy przed śmiercią. A jednak budzi on nasz zachwyt, nie współczucie. Miliony fanów na całym świecie czczą go niczym boga. Jak to możliwe?

- Żyjemy w kulturze, w której najbardziej cenionymi wartościami są popularność i bogactwo oraz związane z nimi wpływy i możliwości, czyli władza. Ta kultura stworzyła przemysł produkujący idoli i uczyniła z nich swoich kapłanów. Niestety, tylko niewielka część inżynierów tego przemysłu i jego konsumentów traktuje idoli i całą machinę, która służy do ich lansowania, z przymrużeniem oka, jak zabawę. Większość z nas szuka w świecie idoli tego, czego na pewno w nim nie znajdzie - wolności, prawdy i szczęścia. Ten świat widziany od środka jest w istocie odwrotnością zachwycającej fasady prezentowanej publiczności: zamiast prawdy znajdziemy tam manipulację i mistyfikację, zamiast wolności - uzależnienie, zamiast szczęścia - strach, ból i smutek. Religia posiadania prędzej czy później musi zniszczyć swoich kapłanów.

- Młody człowiek pragnie zostać artystą. Dostaje się pod opiekę koncertu, który go lansuje. Gdzie jest granica, której nie wolno przekraczać? Co sprawia, że pragnienia artystyczne prowadzą do działań destrukcyjnych?

- Idole to najczęściej ludzie, którzy bardzo cierpieli w dzieciństwie, doznając upokorzeń i rozczarowań. Ich dorosłe otoczenie robiło wszystko, żeby pozbawić ich wiary w siebie, w drugiego człowieka, w miłość i szacunek. Wystarczy przejrzyć życiorysy gwiazd popkultury. Presley wyszedł z bardzo trudnej rodziny, podobnie jak Marilyn Monroe, Madonna czy Michael Jackson. Wielu współczesnych polskich idoli też ma za sobą trudne dorastanie. Ale kategorię „idola” można rozszerzyć poza obszar show-biznesu. Należą do niej wszyscy, którzy w popularności, władzy i posiadaniu szukają sposobu na udane życie. Wszyscy pragniemy miłości i wszystkim nam się ona należy. Jednak gdy nie dostaniemy jej tak, jak powinniśmy - za darmo, za nic, bezwarunkowo, to będziemy próbowali ją w dorosłym życiu kupić, zdobyć za wszelką cenę. Wiele czasu upłynie, zanim zorientujemy się, że na próżno próbowaliśmy nasycić się jej erzacem w postaci popularności i bogactwa, że po drodze, nie wiedząc kiedy, sprzedaliśmy duszę i podążamy w kierunku samozniszczenia. Co gorsza, odkrywamy, że uzależniliśmy się od mistyfikacji, która nie dość, że pozbawia nas duszy, to na dodatek oddala od upragnionego celu. Gdy okazuje się, że za żadne pieniądze i żadnym wysiłkiem nie jesteśmy w stanie kupić ani zdobyć miłości, wpadamy w rozpacz. Dlatego wśród idoli popkultury, polityki, biznesu i sportu panuje epidemia depresji.

- Od czego się uzależnili? Od miłości fanów?

- Przede wszystkim od pieniędzy i iluzji panowania nad swoim życiem, którą dają pieniądze. Pieniądze pozwalają wierzyć, że to, co nieprzyjemne, łatwo zamienimy na przyjemne, że

odkupimy swoje winy i wykupimy swoją wolność, że to, co trudne, uczynimy łatwym, a to, co niemożliwe, możliwym, że kupimy sobie zdrowie, wieczną młodość, lepszy los, a także uznanie, szacunek, przyjaźń i lojalność otoczenia. Ale idole uzależniają się także od pseudo miłości swoich fanów. Przecież ludzie nie znają swojego idola, co więcej, wcale nie chcą go znać. Idol nie jest człowiekiem z krwi i kości. Jest od początku do końca wykreowanym fantomem. Jeśli jeszcze tego nie czuje, to z pewnością przeczuwa, że nie on jest kochany, że oklaski, zachwycone spojrzenia, wyrazy podziwu i uznania są wynikiem jakiejś zbiorowej mistyfikacji, której on sam jest największą ofiarą. Dlatego żyje w cichej, skrywanej rozpacz. Wie, że może się cieszyć namiastką miłości dopóty, dopóki będzie za nią płacić swoim zdrowiem, duszą, życiem. Zdaje sobie sprawę, że będzie podziwiany i „kochany” tak długo, jak długo odnosić będzie sukcesy. Gdy zabraknie mu zdrowia, siły czy talentu, ludzie natychmiast o nim zapomną, a nawet zaczną nim gardzić dlatego, że tak bardzo ich zawiódł.

- Może my nie kochamy idoli, za to oni kochają nas. Idol często krzyczy ze sceny: Kocham was!

- Kochają swoją widownię tak, jak alkoholik kocha wódkę, a narkoman narkotyki. To nie jest miłość. To uzależnienie. Idole też konsumują swoją widownię. Relacja między idolem a jego fanami polega na wzajemnym pożeraniu się. Artysta, polityk czy biznesmen, który me cierpiał z powodu deficytu rodzicielskiej miłości, nie będzie zabiegał o miłość widowni, zaspokajając jej przeciętne gusta, nie będzie chwalił się tym, że ludzie go kochają. Będzie mu zależało na tym, aby trafić do ludzi, ale nie kosztem zdrady samego siebie. Będzie robił swoje także wtedy, gdy pozostanie niezrozumiany, a nawet gdy wszyscy o nim zapomną.

- Idole są świadomi ceny, jaką płacą. Wyobraź sobie, że przychodzi do ciebie jeden z nich i mówi: Mam dosyć takiego życia! Jakie ma szansę na zmianę?

- Takie jak my wszyscy. Musimy przestać uciekać, zatrzymać się, przeżyć trudne uczucia, które wcześniej były nie do uniesienia, i zdać sobie sprawę z nawyków, które nieświadomie kierują naszym życiem. Nie sposób tego dokonać bez wsparcia drugiej osoby, bez jakiegoś innego, realnego źródła nadziei. Sytuację tę można dobrze opisać, interpretując w nieco odmienny sposób baśń o Kopciuszku. Gdy Kopciuszek dzięki interwencji dobrej wróżki znalazł się na balu, prezentując się tak, jakby był prawdziwą księżniczką, zakochał się w niej Prawdziwy Książę. Kopciuszek, który do tej pory bawił się świetnie, poczuł, że musi uciekać z balu, ponieważ Książę pokochał nie ją, tylko olśniewającą kobietę w pięknej sukni, za którą Kopciuszek był przebrany. Gdyby Książę wiedział, że naprawdę ma do czynienia z zanedbaną kuchenną dziewczką, z pewnością kazałby mnie wyrzucić z pałacu - pomyślał Kopciuszek. Na szczęście uciekając, zgubił bucik, dzięki czemu Książę mógł podążyć tropem swojej miłości. Jak pamiętamy, Kopciuszek uwierzył w miłość Księcia dopiero wtedy, gdy ten zobaczył dziewczynę na własne oczy w brudnej komórce taką, jaką była naprawdę. i mimo to podtrzymał swoje oświadczenia. Ta historia w jakiejś mierze dotyczy każdego z nas. Wróżka robi hokus pokus i doświadczamy niezwykłego wyniesienia. Znajdujemy się na balu na królewskim dworze, ale w głębi duszy wiemy, w jesteśmy za kogoś przebrani, że wyrazy miłości i zachwyty nie nas dotyczą, jedynym sposobem wybrnięcia z tej pułapki jest znalezienie drogi z powrotem do siebie. Książę reprezentuje wątek życia nasycony sukcesem, chwałą, sławą i powodzeniem. Kopciuszek - wewnętrzne niekochane, upokorzone, nieszczęśliwe dziecko. Żeby uporządkować swoje życie i uchronić się przed piekłem wiecznej mistyfikacji, aspekt Księcia musi wykonać ogromną pracę - odnaleźć i pokochać

głęboko ukryty aspekt Kopciuszka. Musi powrócić do komórki, uznać swoich rodziców i docenić wszystko, czego się tam nauczył. Jednak im bardziej oddalimy się od naszej komórki, tym trudniej do niej wrócić. Sytuacja idoli na miarę Presleya jest bardzo trudna. Nie dość, że sami są uzależnieni od sukcesu, to w dodatku czują ogromny nacisk ze strony show-biznesu. Przecież żyją z nich tysiące ludzi, którzy gotowi są zrobić wszystko, żeby wyeksploatować idola do cna. Idol praktycznie ma niewielkie szansę na wycofanie się w porę - musi złożyć swe życie w ofierze na ołtarzu show-biznesu.

- Słuchałam niedawno wywiadu z dyktatorem mody Arkadiuszem. Powiedział mniej więcej tak, że moda już go właściwie nie interesuje, ale ponieważ stworzył imperium, w którym tylu ludzi ma pracę, więc trudno mu odejść. Zobaczyłam człowieka pełnego wątpliwości, uwikłanego.

- Jest taka piękna sekwencja w filmie „Forrest Gump”. Główny bohater miał ochotę trochę pobiegać, a potem mu się to tak spodobało, że nie mógł skończyć. Zaczęli dołączać do niego inni ludzie. Wkrótce biegł z nim spory tłum, a prawie każdy dorabiał do tego wspólnego biegnięcia jakąś ideologię, hasła i transparenty. A tu nagle Gumpowi się odechciało i poszedł do domu. Ludzie byli zaskoczeni i oburzeni. Bieg uczynili sensem życia, a w Gumpie chcieli widzieć swego proroka. Ale Forrest Gump w ogóle nie rozumiał, o co im chodzi. Nie zależało mu na nich. Nie chciał być ich idolem. Był człowiekiem wolnym.

- Co skłania nas do tego, by biec za idolem?

- Fani idoli rekrutują się spośród ludzi, którzy w dzieciństwie doświadczyli podobnego jak ich idol losu. Idol jest nam potrzebny do tego, by uwierzyć, że my też możemy sobie kupić szczęście. Poprzez identyfikację z nim uczestniczymy w jego sukcesie, uzyskujemy złudne poczucie własnej wartości.

- Ale przecież nie odzyskujemy go. Dla wielu z nas idol jest kimś w rodzaju mistrza duchowego, staramy się go naśladować, chodzimy ubrani jak on, tak samo się strzyżemy, czesemy, malujemy, używamy tych samych słów. To tak, jakbyśmy chcieli przejąć jego tożsamość. A przecież od wielbienia idola nic się nie zmienia w naszym życiu.

- Może tylko tyle, że będziemy mieli skłonni do popełniania tego samego błędu, czyli do poszukiwania na zewnątrz siebie tego, co możemy znaleźć jedynie w sobie. Ale im wyżej wejdziemy na górę, na którą wspina się idol, tym bardziej będziemy się bać.

- Idol może być więc niebezpieczny.

- Idol żyje z tego, że jest idolem. Czasami tak zażarcie broni swej iluzji, tak bardzo potrzebuje widowni i oklasków, tak bardzo staje się charyzmatyczny, że może sprowadzić wielu ludzi na manowce, na które sam zbłądził. Tu szczególnie niebezpieczni są idole polityki i religii.

- Wiemy o tych manowcach. Znamy losy naszych idoli. Czytamy o ich nieudanych związkach, uzależnieniu od alkoholu i narkotyków. A mimo to imponują nam, chcemy być tacy jak oni.

- Chcemy wierzyć, że nam jednak się uda i unikniemy negatywnych skutków. Myślimy jak narkomani: „Może jednak narkotyki dadzą mi szczęście, nie powodując katastrofy w moim życiu?”.

- Znana pisarka opowiadała o spotkaniu z czytelnikami. Gdy namawiała je do tego, by odkrywać w życiu własną drogę, usłyszała, że dla nich wzorem jest... Monica Levinsky, bo „nic nie musiała robić, a jest sławna i bogata”.

- Promowany jest właśnie taki model życiowego sukcesu - nic nie trzeba robić, tylko odpowiednio często pokazywać swoją twarz i ciało w telewizji. Telewizja nobilituje każde, nawet najgłupsze, zachowania czy poglądy. Wystarczy, że wiele osób na to patrzy dostatecznie długo. Tymczasem wielu naprawdę mądrych, ciekawych, utalentowanych ludzi, którzy mogliby stać się przykładem, którzy dochodzili do swego mistrzostwa ciężką pracą, cicho, bez rozgłosu - nie znajduje drogi do zasłużonej sławy i uznania.

Jesteśmy więc skazani na idoli?

- Mam nadzieję, że nie wszyscy. Ale wielu z nas podążając za takimi wzorcami, zaniedbuje i krzywdzi swoje dzieci. W zbyt wielu rodzinach kilkuletnie dzieci robią kariery. Rodzice funkcjonują jak fani swoich synów i córek albo jak ich trenerzy; albo poniżają swoje dzieci, albo je idealizują. A dzieci czują, że nie są kochane, tylko konsumowane i wchodzą w dorosłość z przekonaniem, że życie można sobie kupić. A to nieprawda. Za to łatwo można je sprzedać.

Kto jest mistrzem?

Renata Arendt-Dziurdzikowska dla magazynu „Zwierciadło”.

Można żyć bez mistrzów?

Bez pomocy mistrzów byłoby nam trudno odnaleźć drogę. Mistrzowie są po to, by nas inspirować, byśmy chcieli stawać się tacy jak oni. Są zachwycającym urzeczywistnieniem tego, czym w istocie jesteśmy. Gdy na końcu drogi odkrywamy wreszcie, że od zawsze w mistrzu widzieliśmy i poszukiwaliśmy siebie - rola mistrza się kończy.

Każdy z nas ma w sobie mistrza?

Każdy z nas w swej istocie jest mistrzem. Ale tylko mistrzowie wiedzą o tym naprawdę, ponad wszelką wątpliwość. Tylko oni tego doświadczyli. Na tym polega ich mistrzostwo. Dopóki sami tego nie wiemy, musimy im uwierzyć na słowo - a potem iść drogą, którą oni przeszli.

W naszym redakcyjnym cyklu „Mistrzowie pilnie poszukiwani” przedstawiamy ludzi, którzy wywarli wpływ na innych, inspirowali do rozwoju, przekraczania siebie. Niedawno zadzwoniłam do bardzo znanego aktora z prośbą, aby opowiedział o swoim mistrzu. Bez wahania stwierdził, że na swojej drodze nie spotkał nikogo takiego. Nie dawałam za wygraną: „To może być ktoś z dzieciństwa, dziadek, wujek, nauczycielka”. „Nie pamiętam”. „A ktoś, kto nauczył pana zawodu?”. „Sam się nauczyłem”. „A mistrz duchowy? Może być nieżyjący...” - podpowiadałam, bo wydawało mi się niewiarygodne, aby można było żyć, nikomu niczego nie zawdzięczając. Aktor się zmartwił: „Pomyślę jeszcze...”. Ale nikt nie przyszedł mu do głowy.

Wielu z nas żyje w przekonaniu, że mistrz nie jest do niczego potrzebny, że wszystko już wiemy i po trafimy. Wtedy całe bogactwo istnienia przykrawamy do wymiarów tej

wielkościowej iluzji. Inni utracili wiarę. Nie wierzą w to, że mistrzowie istnieją. Noszą w sercu przeświadczenie, że nie ma na tym świecie nikogo, komu mogliby zaufać. To często ci spośród nas, których bezgraniczna wiara w miłość rodziców doznała ogromnego zawodu.

Po czym poznać mistrza? Znałam wielu nauczycieli - matematyków, fizyków, filologów, którzy osiągnęli nieprzeciętne wyniki w swojej pracy, a jednak nikt nie mówił o nich, że są mistrzami. Tymczasem nazywamy tak bardzo często skromnych, prostych ludzi.

Ludzie, którzy osiągając zawodowe mistrzostwo, zaniedbali swój osobisty, wewnętrzny rozwój, przez co nie mają do siebie dystansu, wydaje im się, że wszystko wiedzą i nie chcą się już niczego uczyć, nie budzą w nas takiego podziwu, zachwytu, jakim obdarzamy prawdziwych mistrzów. W tych ostatnich inspiruje nas przede wszystkim to, jacy są, jak żyją, jak się zachowują. Wiedza nie czyni mistrza. Najwięcej zawdzięczamy tym mistrzom wiedzy i umiejętności, którzy jednocześnie zachwycili nas jako ludzie.

Można źle wybrać mistrza, zachwycić się niewłaściwą osobą, uzależnić się. Z jednej strony mistrzowie są nam bardzo potrzebni, z drugiej - mogą być niebezpieczni.

Wybierając swego mistrza, trzeba bardzo uważać. Po świecie krąży wielu fałszywych mistrzów. To często ludzie, którzy nie mieli swoich żywych mistrzów, bo nikomu nie potrafili zaufać. Ich „mistrzowie” wykreowani są z dowolnych i wygodnych interpretacji słów dawnych mistrzów. Pseudomistrzowie pracowicie kreują także samych siebie. Ogłaszają się mistrzami, prorokami, szamanami, po czym pilnie poszukują wyznawców i hołdów. Prawdziwy mistrz nigdy nie poszukuje uczniów. Pierwszy patriarcha zen Bodhidharma miał jednego ucznia, a to tylko dlatego, że ten nie dał się przepędzić. Dokładnie odwrotnie postępują fałszywi mistrzowie. Poszukują ludzi pragnących wsparcia i bezpieczeństwa. Tworzą zamknięte społeczności rządzące się zasadą ścisłej tajemnicy i bezwzględного posłuszeństwa, których naczelną funkcją jest podtrzymywanie wielkościowych iluzji szefa, a nierzadko także zaspokajanie jego materialnych apetytów. Tak powstają sekty, które przez to, że nie ujawniają swoich praktyk i nie podejmują z nikim dialogu - a więc nie poddają się żadnej społecznej weryfikacji - mogą stanowić schronienie i pożywkę dla różnorodnych patologii. Dlatego prawdziwy mistrz w przeciwieństwie do założyciela sekty nigdy nie oświadczy, że tylko jego droga jest prawdziwa, że tylko ona gwarantuje zbawienie, a z tymi, co myślą inaczej, nie warto w ogóle rozmawiać. Wielu, szczególnie młodych ludzi, ulega jednak fałszywym mistrzom. Przyczyna tkwi oczywiście w kryzysie rodziny i w kryzysie autorytetów. Coraz więcej sfrustrowanych dzieci szuka, gdzie tylko się da, miłości, troski, wsparcia, podstawowego poczucia bezpieczeństwa, ładu, jasno określonych reguł i norm. Nierzadko trafiają do sekt. Ale mogą też uprawiać sekciarstwo w ramach otwartych i zdrowych organizacji religijnych. Dlatego na przykład dla katolików mających sekciarskie inklinacje nawet Papież nie jest mistrzem - bo mówi o miłości, tolerancji i szacunku dla innych. A oni we wspólnocie religijnej szukają przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa, zapożyczonych tożsamości i moralnego alibi dla swoich ksenofobii i uprzedzeń.

Prawdziwy mistrz mówi rzeczy niewygodne?

Bardzo niewygodne. Ale za to daje wiarę i wskazuje drogę prowadzącą do Prawdy. Prawdziwy mistrz nikogo od siebie nie uzależnia. Jego celem jest jak najprędzej przebudzić uczniów do rzeczywistości ich własnego, przyrodzonego mistrzostwa - czyli uczynić ich ludźmi całkowicie wolnymi. Wolnymi również od niego. Gdy już prawie trzydzieści lat temu

zostałem uczniem mojego pierwszego nauczyciela Philipa Kapleau, powiedział mi tak: „Uważaj, bo jestem wielkim oszustem, sprzedaję wodę nad brzegiem rzeki”. Innymi słowy, oświadczył mi, że stoję razem z Nim w tej samej rzece i proszę Go, żeby mi sprzedał wodę. Dopóki więc nie zobaczę tej rzeki, będzie mi ją sprzedawał, ale z góry uprzedza, że nasza relacja oparta jest na iluzji, której źródłem jestem ja. Prawdziwy mistrz tak traktuje siebie i ucznia. Nie czuje się kimś lepszym i nie wywyższa siebie. Dostrzega mistrzostwo w swoim uczniu, jego potencjał mądrości, wolności i niezależności, i dąży do tego, aby uczeń jak najprędzej je urzeczywistnił. Budda, gdy umierał, powiedział do swoich uczniów: „Bądźcie dla samych siebie światłem”. Nie zgadzał się na stawianie pomników ani uprawianie jakiegokolwiek kultu jego osoby. Mistrz wie, że uprawianie kultu jest przejawem ucieczki ucznia od jego własnego mistrzostwa, ucieczką przed wzięciem odpowiedzialności za własne życie.

Poznaję mistrza, zachwycam się nim, uwielbiam go, wszystko, co mówi, jest genialne - ta miłość sprawia, że przestaję brać odpowiedzialność za własne życie?

Idealizacja i oddanie to ważny, początkowy etap w rozwoju relacji mistrz - uczeń. W ten sposób przejawia się pokora, niezbędny warunek otwarcia się na nową perspektywę, nową wiedzę. Widzimy, jak wielu podstawowych rzeczy jeszcze nie wiemy i nie rozumiemy. Trudno się więc dziwić, że osobę, od której możemy się tego nauczyć, wynosimy na piedestał. Ale prawdziwy mistrz nie pozwoli nikomu uzależnić się od niego. Pomoże zrozumieć, że kult i idealizacja nie mają nic wspólnego z miłością i wdzięcznością. Miłość jest przecuciem podstawowej jedności z nauczycielem i zarazem dążeniem do niej poprzez wyrzekanie się naszej fałszywej, egocentrycznej tożsamości. Idealizowanie i wywyższanie mistrza często okazuje się zakamuflowanym sposobem dodawania sobie splendoru na zasadzie: „jestem uczniem kogoś tak wyjątkowego”, a także próbą zawłaszczenia nauczyciela i wpakowania mu się na kolana na resztę życia.

Jakbyśmy mówili: „Tylko ty możesz mnie uratować, weź mnie pod opiekę, zatroszcz się o mnie, wszystko zależy od ciebie...”.

„... zrób tak, żebym nie musiał cierpieć i wysilać się, a ja cię postawię na ołtarzu i wszystkim opowiem, że jesteś najlepszy i najmądrzejszy”. Wydaje nam się, że gdy przywłaszczymy i oswoimy sobie mistrza, to problemy naszego życia się same przez się rozwiążą. Ale prawdziwy mistrz nam na to nie pozwoli. Nie zgodzi się na żadne manipulacje, półśrodki ani kolejne iluzje. Nie da nam spocząć, dopóki nie doświadczymy Prawdy. Będzie ciągle na nowo, na tysiące różnych sposobów powtarzał: „Nie mam ci do dania niczego, czego byś już nie miał. Nie mam ci do powiedzenia niczego, czego byś już nie wiedział”.

Moc

Poczucie mocy nie ma nic wspólnego z agresją, wywyższaniem siebie, pogardą i nienawiścią do innych, nie ma też nic wspólnego z uzależnianiem innych ani rządą dusz. Jest fenomenem złożonym z wielu ważnych i niełatwych do osiągnięcia składników, takich jak spokój, pogoda ducha, obecność, naturalność, skromność i pokora, otwarte serce, bezinteresowność, zdolność do wybaczenia i przepraszania, lekkie i czyste sumienie, przejrzystość i klarowność, wytrwałość i nieustraszeność.

Moc jest z nami, gdy uważnie, z otwartym sercem i umysłem, przeżywamy każdą chwilę, nie wybiegając w przyszłość i nie oglądając się za siebie. Kiedy cel nie przesłania nam drogi i gdy odkrywamy, że droga jest celem.

Moc jest z nami, gdy nie wstydzimy się głęboko i mocno oddychać, gdy śmiało czerpiemy niezbędną do życia energię, a przepona uciska i wybrzusza mocny brzuch przy każdym wdechu.

Moc jest z nami, gdy czujemy siłę naszych nóg, na których możemy polegać, i ziemię, która nas niesie, i gdy łagodny, wewnętrzny głos wspiera nas niezawodnie - szepcząc: „Jestem tutaj, nigdzie się nie spieszę, mam czas dla ciebie, możesz na mnie liczyć, możesz na mnie polegać, nie jesteś dla mnie ciężarem, troszczę się o ciebie - i ofiarowuję ci to wszystko z radością i bez wysiłku”.

Moc jest z nami, gdy świadomi swoich najgłębszych potrzeb staramy się żyć w zgodzie z sobą, gdy mamy jasną świadomość naszej życiowej misji i czynimy wszystko, co w naszej mocy, aby ją urzeczywistnić.

Moc jest z nami, gdy swoim postępowaniem nie sprzeniewieramy się temu, co w nas najgłębsze i najprawdziwsze, i gdy nie krzywdzimy innych.

Moc jest z nami, gdy potrafimy przyznawać się do błędów, przeproszać i czynić zadość.

Moc jest z nami, gdy przeczuwamy, że nasz egocentryzm i wynikające z niego poczucie oddzielenia są pułapką, źródłem cierpienia, konfliktów - gdy pragniemy i poszukujemy wolności i miłości.

eka